



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Elżbieta Gremblicka-Sobczyńska

Utracone dzieciństwo

Życia nie można opisać dzień po dniu. W pamięci pozostają tylko obrazy określonych wydarzeń wiernie zarejestrowane w podświadomości i na zawsze. W każdej chwili można je przywołać w kolorach, pełne zapachu i napięcia emocjonalnego, bo wbrew wszystkiemu nie znikają nigdy. Podobnie dzieje się z pobytami w oświęcimskim obozie. Opuściłam go fizycznie ponad sześćdziesiąt lat temu, lecz psychicznie tkwię w nim nadal, a doznania rzutują na bieżące życie.

Dzieciństwo do wybuchu wojny w 1939 roku

Narodzin moich oczekiwano z radosnym przecuciem, że będzie córka. W rodzinie był już syn Leszek urodzony 19 lipca 1932 roku w dzielnicy Wola w Warszawie. Przeto dzień 19 września 1934 roku, także w Warszawie, przyniósł nie tylko wielkie spełnienie marzeń moich rodziców, ale był przede wszystkim bardzo doniosłym dla mnie samej, bo otrzymałam dar życia na tym świecie!

Futro, którym ojciec obdarował mamę, stanowiło podziękowanie za trud macierzyństwa i już zawsze uważane było za symbol zaistnienia Elżbiety, Urszuli Gremblickiej.

Rodzina wiodła względnie zamożne, spokojne życie, którego okrucy na zawsze zapadły w mej pamięci. Dzieci nie tylko rozpieszczano, ale zdecydowanie chroniono przed troskami i konfliktami rodziców, jeśli w ogóle miały one miejsce. Dbając o ich rozwój organizowano różne przyjemności, oraz obdarowywano cennymi zabawkami, z których radość czerpali także rówieśnicy z podwórka. Najbardziej zatem eksploatowany był rower firmy Jana Kamińskiego, którego koła wyróżniały się pięknymi, żółtymi drewnianymi obręczami, zakupiony dla brata Leszka na wiosnę 1937 roku, za całe ówczesne 120 złotych. I choć nauczyli się na nim jeździć wszyscy z nami zaprzyjaźnieni, to nigdy się nie zepsuł i przetrwał aż do samego Powstania Warszawskiego, podczas którego spłonął.

Natomiast radością i nie tylko ojca było nabycie bardzo modnego na owe czasy motocykla z koszem. W trakcie przejażdżek za miasto mieścił całą czteroosobową rodzinę, a odmienność podróżowania wzbudzała nasz zrozumiały entuzjizm.

Projektor filmowy, który także miał gorących zwolenników, był raczej rzadko dostępny w zabawach, gdyż wymagał obsługi dorosłych. Lecz uruchomiony bawił podwójnie. Cieszył nie tylko dając możliwość oglądania ruchomych, choć niemych obrazów, przeważnie z Chaplinem, ale także umożliwiał zabawę w kino. Frajdą było przygotowywanie miejsc dla widowni, uczestnictwo przy instalowaniu ekranu i co najistotniejsze spraszanie gości -widzów, którym wręczano symboliczne bilety wstępu.

Jednak zupełnie inny świat szczęśliwości stwarzało oglądanie „Królowy Śnieżki” Disneya w prawdziwej sali kinowej. W oczekiwaniu na projekcję filmu, w rozgwarze ogromnej widowni, podjadaliśmy z bratem aromatyczne mandarynki podsuwane przez rodziców, których zbawczą obecność w pełni docenialiśmy dopiero w chwilach grozy wynikającej z poczynań złej czarownicy.

Lecz i stany zadziwienia powstałe podczas pobytu w cyrku Staniewskich przy ul. Ordynackiej są także godne wspomnienia, choć przedstawienie „Cyrk pod wodą” tylko we fragmentarycznych obrazach zapadło w pamięci. Jeszcze dziś widzę świetlistą postać kobiety stojącej bardzo wysoko na niewielkiej platformie wkomponowanej w ścianę, podczas, gdy spod jej stóp szerokim strumieniem spływała na arenę kolorowa woda, na której unosił się prawdziwy stateczek. Ta zachwycająca, różnobarwna kaskada stwarzała bajkowe wrażenie. A jej koloryt długo zastanawiał, nurtował i inspirował do poszukiwania logicznego wyjaśnienia tajemnicy jego powstania. Dopiero znacznie później odkryłam, że ten fascynujący wodospad był prześwietlany różnego koloru reflektorami. Jakież proste – a jakie przeżycie!

Za to wrażenia z odbioru efektownego pokazu tresury lwów skaczących przez płonącą obręcz były zupełnie odmienne od zamierzonych. Całą moją uwagę skierowałam bowiem, nie na podziwianiu odwagi, zwinności i posłuszeństwa zwierząt, lecz na obawę o ich bezpieczeństwo. Toteż z ulgą i rozbawieniem przyjęliśmy zupełnie nieoczekiwane wydarzenie, nie mające nic wspólnego z przedstawieniem, a kończące pobyt w cyrku, które spotkało mamę. Mały porwał z jej głowy kapelusz, gdy nieopatrznie zbyt blisko podeszła do ich klatki. Odebrany zwierzakom był tak wytlamszony i sponiewierany, że już nie nadawał się do noszenia, o czym rodzinna wieść jeszcze długo nosła i rozprawiała.

Uwieńczeniem dostępnych dzieciom w mieście zabawowo- rozrywkowych uciech była także wyprawa do Lunaparku zlokalizowanego nad Wisłą na terenie Pragi, po lewej stronie wylotu kratownicowego mostu Kierbedzia. Pobyt w nim wspominam z mieszanymi uczuciami. Przyczyną była zapierająca dech, a niespodziewana emocja podczas szalonej podróży w wagoniku górskiej kolejki poruszającej się po specjalnym torze, która w ogromnym pędzie najpierw wznosiła się na „niebotyczną” wysokość, aby nagle i niespodziewanie zsunąć w dół. W efekcie przeżyta groza była na tyle silna, że wyeliminowała z pamięci wszystkie inne nawet pozytywne wspomnienia z tegoż Lunaparku. Nic zresztą dziwnego. Uczestnictwo w tego rodzaju eskapadach, z których nie sposób było mnie wyłączyć, organizowane i dopasowywane było raczej do wieku o dwa lata starszego brata.

Niemniej i życie bieżące, wbrew wszelkim pozorom i dbałości rodziców, również obfitowało w miejsca i sprawy, których świadomie i zdecydowanie oboje z bratem nie akceptowaliśmy.

Wśród nich na pierwszym miejscu figurował renomowany, a założony w 1869 roku Szpitalik Dziecięcy przy ul. Kopernika 43, gdzie w razie chorób, od których nie zawsze byliśmy wolni, szukano dla nas ratunku. Przyczyna naszej niechęci tkwiła w szybkościowym pomiarze temperatury w pupie i o zgrozo, dokonywanej na oczach ubierającego się jeszcze poprzednio badanego – rówieśnika! Stosowanie tego bezceremonialnego proceduru związanego najwidoczniej z koniecznością zapewnienia określonego tempa w obsłudze pacjentów, wywoływało w bezbronny, roznegliżowanym delikwencie bolesne doświadczenie wstydu i upokorzenia.

Niefortunne także, ale tylko dla mnie, bo brat Leszek nie miał kłopotu z przystosowaniem, okazało się posłanie nas jesienią 1938 roku do wspaniale wyposażonego przedszkola „tramwajarzy”, zlokalizowanego w obrębie Miejskiego Gimnazjum im. Gen. Sowińskiego przy ul. Młynarskiej 2 na Woli. Budynek ocalał i funkcjonuje do dziś.

Umieszczenie w tej placówce, mającej nauczyć współżycia społecznego oraz innych umiejętności stosownych do naszego wieku, uznałam za niezrozumiały wymysł rodziców, wręcz zamach na moją wolność. Tęsknota za domem i bliskimi powodowała poczucie wyobcowania z grona bawiących się dzieci. Próba zachęty do udziału w zajęciach i przełamanie narastającej apatii spelzła na niczym. Czas spędzony w przedszkolu stanowi białe plamy w moim życiu, choć byłam z natury dzieckiem energicznym, ruchliwym, niezależnym i pełnym inicjatywy w zabawach. Moim ratunkiem w przetrwaniu tej rozłąki z rodziną, było zapamiętałe strzeżenie przed dotykiem obcych rąk, miejsc zapięcia na kapciach. Klamerki te dotykane podczas zmiany obuwia przez osobę odprowadzającą, były ostatnim namacalnym łącznikiem z domownikami.

Z przedwojennych letnisk mających zapewnić dzieciom zmianę klimatu i towarzystwo rówieśników z zaprzyjaźnionych rodzin, prawie nic nie pamiętam. Ale były na pewno. Zachowały się, bowiem fotografie i opowieści, że zgodnie z panującym zwyczajem ze względu na małe dzieci, letnie pobyty lokalizowano w pobliżu Warszawy: Rybieniu nad Bugiem, Urlach nad Liwcem lub Chylicach. Przetrwało także mgliste wspomnienie wynajętej kozy i jej bardzo odżywczego mleka, do którego gorliwie starano się nas przekonać, tak jak do jedzenia w ogóle.

Najważniejsza jednak była atmosfera domu, którą nasiąkałam. Obecność ojca uczestniczącego osobiście w zabawach, majsterkowaniu i wieczornych czytaniach oraz opiekuńcze ciepło mamy, która nad całością czuwała, przed niepożądanym chroniła, a bolesne łagodziła.

Natomiast prace związane z trudami jego prowadzenia wykonywała panna służąca. Przewinięło się przez nasz dom ich kilka. Nazwisk niestety nie pamiętam. Po wydaniu za mąż Józii, będącej jeszcze świadkiem moich narodzin i kochającej mnie bardzo, nastąpiła „groźna” Andzia, która odeszła po wybuchu wojny. Potem już w kolejnych dwóch lub trzech latach okupacji przebywały jeszcze dwie. Dzięki łagodnej Albince, pojęłam potrzebę szacunku dla ludzkiej pracy. Do dziś pamiętam jej rozżalony wzrok, gdy po świeżo wypastowanej podłodze przejechałam rowerem pozostawiając ślady opon. To wymowne spojrzenie wystarczyło i zapadło na zawsze. Ostatnią energiczną Marylkę mama zmuszona była odprawić na skutek załamania finansów. Lecz ona zachowała się bardzo szlachetnie. Znając brak umiejętności kulinarnych mamy, a pełna szacunku i wdzięczności dla serdecznego jej traktowania, wzbraniała się przed odejściem i pozostawieniem rodziny naszej w bardzo trudnej życiowej sytuacji.

Wreszcie grono domowników uzupełniła zadomowiona jeszcze przed narodzinami brata Leszka, czarna z białym krawacikiem kotka o wdzięcznym imieniu Niunia, ulubienica wszystkich. Troszcząc się o nią uczuliśmy się szacunku i miłości do zwierząt.

Zabezpieczającym ten życiowy dostatek był oczywiście tata, Achilles Gremblicki, urodzony 13 listopada 1901 roku w Warszawie, z zawodu architekt. Do wojny w 1939 roku prowadził jednoosobowe przedsiębiorstwo projektowo – budowlane. Ożeniony w dniu 20 października 1929 roku w Warszawie z Janiną Głogowską, urzędniczką urodzoną 9 października 1903 roku w Pruszkowie – Żbikowie, zamieszkał w jej rodzinnym domu, otoczonym ogrodem, w Warszawie przy ul. Wolskiej 117. W domu tym, będącym sukcesorskim spadkiem po mamy babce Tekli Windyga, rodzina moja zajmowała rozległe, nowoczesnie umeblowane cztery pokoje, wyposażone w telefon niezbędny do działalności ojca.

Wybuch II Wojny Światowej 1 września 1939 roku

Z ostatniego letniska spędzonego po raz pierwszy nad Bałtykiem w Wielkiej – Wsi na Helu, wracaliśmy pod koniec lipca 1939 roku pośpiesznie i przed zamierzonym czasem. Powrót do Warszawy był przejmujący. Podróżni stali w oknach pociągu śpiewając znaną powszechnie piosenkę „Morze nasze morze”.

Nie wiedziałam, że nadejść ma II wojna światowa z najgorszymi doświadczeniami, które wkrótce miały się w moim i rodziny życiu wydarzyć.

Na razie jednak żyłam pełną spokojem. Rodzina była w komplecie. Ojciec nie podlegał mobilizacji z przyczyn zdrowotnych. Słowo „wojna”, powtarzane coraz częściej, nadal było pustym brzmieniem, lecz atmosfera w otoczeniu stała się dziwnie napięta i nerwowa przy jednoczesnych niezrozumiałych dla mnie poczynaniach dorosłych. Zdziwiła mnie naklejanie na szybach skrzyżowanych pasków papieru mających chronić je przed wypadnięciem, zasłanianie okien od strony wewnętrznej czarnymi roletami z grubego, pofalowanego papieru, aby światło nie przenikało na zewnątrz i rozkopywanie podwórka pod schrony.

Niepokoili tylko postawa rodziców, gdy pełni skupienia i przygnębienia wsłuchiwali się w komunikaty radiowe. Nadal jednak nic nie rozumiałam, chociaż już od pierwszego września 1939 roku toczyła się II wojna światowa.

Nie przeczuwałam, że właśnie popada w ruinę mój pięcioletni świat i szansa na inne życie. Że to najbliższe, bezcenne będą musiały przeżyć w zupełnie odmienny od spodziewanego sposób, gdyż zostanie odarte z doznań mających swój niepowtarzalny czas! A jaką wartość miało dzieciństwo szczęśliwe, zasobne materialnie, pełne miłości i obecności obojga rodziców doceniam w pełni dziś, ogrzewając się strzępkami jego wspomnień.

Tymczasem komunikaty radiowe, których charakterystyczne nawoływanie doskonale pamiętam, coraz intensywniej i natrętniej ostrzegały: „Uwaga, uwaga nadchodzi. Ogłaszam alarm dla miasta Warszawy”.

Podczas wycia syreny odwołującej taki alarm, w słoneczny, ciepły dzień 2 września 1939 roku, przed godziną 17, ubrana w białą falbaniastą sukieneczkę w asyście rodziny zdążyłam na mój chrzest. Opóźniony o całe pięć lat odbył się w kościele św. Wojciecha przy ul. Wolskiej. Przyczyną zwlekania dopełnienia właściwego sakramentu był fakt, że urodzoną w stanie zamartwicy natychmiast ochrzczono mnie z „wody”. Jednak z chwilą rozpoczęcia wojny, już w wielkim pośpiechu rodzice postanowili zadbać o metrykę chrztu, ówczesny dokument narodzin dziecka. Z wrażeń towarzyszących samemu ceremoniałowi zapamiętałam trzymaną w ręku świecę, która stale gasła, czym chyba tylko ja zupełnie się nie przejmowałam.

Mieszkałam w dzielnicy Wola na obrzeżu zachodniej części miasta. Tu właśnie spodziewana była główna linia frontu i obrona. Uzasadnione obawy o bezpieczeństwo rodziny rosły z godziny na godzinę. Wkrótce rodzice podjęli desperacką decyzję o ewakuacji.

Wyposażeni w maski przeciwgazowe, którymi ja i brat bawiliśmy się beztrąsko, wyruszyliśmy do przyjaciół mamy w Natolinie, na peryferiach południowej części Warszawy.

Właścicielami posiadłości, którą od parku pałacu natolińskiego dzieliła piaszczysta droga, byli państwo Joanna i Jerzy Karniewscy. Gościńcą znalazło tu wiele innych osób, tak spośród bliskich jak i znajomych gospodarzy. Od Wilanowa, gdzie widziałam w pośpiechu podkuwane kawalerskie konie, dotarcie do celu wędrówki możliwe było już tylko pieszo. W drodze zaskoczył nas ostrzał nadlatujących niemieckich samolotów. Był słoneczny, upalny dzień. Krycie się w przydrożnym rowie porośniętym rachitycznymi wierzbami i krzakami dawało wątpliwą szansę na ocalenie. Mieliśmy jednak szczęście.

Natomiast miejsce, do którego zdążyliśmy, mające być pewnym azylem, wcale się takim nie okazało. Tu, wbrew oczekiwaniom

16 września 1939 roku przeżyliśmy tragiczne wkroczenie Niemców. Folwark zdobywano brutalnie, pomimo, że go nikt nie bronił. Podpalono stodołę. Przejmującym dla dzieci był fakt, że pies uwiązany przy niej spłonął jako pierwsza, a nieodżałowana ofiara.

Tymczasem żołnierze Wehrmachtu przeszukiwali dom i obejście gospodarze. Ukryte w piwnicy kobiety wraz z ośmiorgiem dzieci wyprowadzono i postawiono przed gankiem pod dozorem żołnierza z karabinem gotowym do strzału. Były to cztery siostry z domu Pajączkowskie: Ziuta Karniewska z córką Anną, Jadwiga Jamiołkowska z dziećmi Aleksandrą i Jerzym, Wanda Zalewska, Regina Windyga, moja mama Janina Grembicka ze mną i moim bratem Leszkiem, oraz pani Wojciechowska z dziećmi – Lusią, Romanem i Tadeuszem.

Nieobecność mężczyzn, którzy brali udział w cywilnej lub wojskowej obronie Warszawy, była dla nas zbawienna i stanowiła chyba argument dla Niemców żeby darować nam życie. Tym bardziej, że jedna z kobiet w języku niemieckim nieustannie powtarzała: „Tylko same kobiety i dzieci, same kobiety i dzieci...”. Lecz kiedy już za przyzwoleniem pilnującego nas żołnierza w pośpiechu wpadliśmy do domu, nie omieszkało go gwałtownie ostrzelać. Do dziś w mej pamięci przetrwał obraz, jak rzuceni na podłogę pod oknem leżeliśmy przytuleni do ściany, bo kule niosły w głąb pomieszczenia.

W konsekwencji wydarzenia te oraz przejmujący obraz łuny nad płonąca Warszawą, na którą zwróciła moją uwagę mama, spowodowały, że znaczenie słowa „wojna” pojęłam w tragicznej praktyce. Wówczas moja ufność do obcych przybyszów uległa zachwianiu, gdyż w jej miejsce pojawił się mający „wielkie oczy” strach. Toteż, gdy na podjazd przed dom zajeżdżali na motocyklach z koszem, żołnierze Wehrmachtu, martwiłam z przerażenia, widząc w wyobraźni potwory, a diabeł, którym dotychczas mnie straszono nabierał fizycznych kształtów. Lecz o dziwo, wystarczyło żeby ci sami wojskowi na moich oczach pozdejmowali hełmy, natychmiast przestawali budzić lęk stając się zwykłymi ludźmi. Te skojarzenia pięcioletniego dziecka spowodowały, że hełm i to koniecznie na głowie żołnierza stał się dla mnie na zawsze synonimem nieprawdopodobnej grozy i wyrafinowanego zła.

Wartym odnotowania jest także fakt, że po doświadczonej pogromie, szwagierka właściciela domu pani Ziuta Karniewska, stwierdziła zaginięcie zegarka. Wtedy wraz z doznaną stratą natychmiast runął mi dotychczasowej opinii zebranych tam osób o żołnierzach niemieckich, jakoby byli dżentelmenami o dużej kulturze osobistej.

Natomiast, wdzięczne Bogu kobiety za uratowane życie już każdego 16 września, w rocznicę wojennego napadu, miały spotykać się wraz z rodzinami na dziękczynnej modlitwie. W miarę upływu czasu, zwyczaj przejęli i kontynuują ich potomni. Z uczestników tamtego wydarzenia żyją już tylko cztery osoby.

Okupacja

Doświadczeni w bolesne przeżycia, dopiero w jakiś czas po kapitulacji Warszawy, datowanej na 28 września 1939 roku, wróciliśmy z Natolina do siebie na Wolę, gdzie mimo linii frontu wszystko szczęśliwie ocalało.

Lecz rzeczywistość, w której odtąd żyliśmy, nie była i nigdy już nie miała być taka jak dawniej. Przede wszystkim ojciec, gwarant egzystencji rodziny, stracił możliwość zarobkowania, gdyż w zbombardowanej Warszawie zakazane było nawet naprawianie zniszczeń. Niemożność funkcjonowania zawodowego ojca zbiegła się z zablokowaniem gotówki na koncie w banku. Bieżące zasoby szybko topniały. Sciąganie zaległych należności z tytułu wcześniej wykonanych prac przez firmę ojca, nie było łatwe ani możliwe, gdyż dłużnicy znaleźli się w podobnej sytuacji i kłopotach.

Doraźne możliwości łatania budżetu rodziny wkrótce się wyczerpały. Zmusiło to rodziców do ryzykownych, bo zakazanych przez okupanta przedsięwzięć zarobkowych. Początkowo był to własny wyrób mydła. Znacznie później, kiedy stał się nieopłacalny, podjęli się niechlubnej w obecnym rozumieniu, domowej produkcji spirytusu rektyfikowanego. Wiedzę odnośnie samej technologii oraz schemat budowy aparatury, zaczerpnięto z fachowej lektury uzyskanej w czytelnicy przy ul. Koszykowej. Produktowi finalnemu amatorskiego i nielegalnego wyrobu nadawano oczywiście znamiona auten-

tyczności przez nalepianie monopolowych etykiet oraz stosowanie odpowiednich stempli przy lakowaniu butelek.

Od tego czasu życiową koniecznością stało się wtajemniczenie mnie i brata w sprawy dorosłych, co sprawiło, że przepadło prawo do beztróskiego dzieciństwa. Dorastaliśmy więc przedwcześnie, mając świadomość współodpowiedzialności za poczynania rodziców. Ciężar konsekwencji był nam dobrze znany – za wszystko, a prawie wszystkiego zakazywał okupant, groziła kara śmierci!

Szkoła (1939 – 1944)

Tymczasem od września 1939 roku brata Leszka, który w lipcu ukończył 7 lat, objął obowiązek nauki. Został zapisany do prywatnej, od wojny koedukacyjnej, Powszechnej Szkoły siostr felicianek, na Woli przy ul. Syreny 11, gdzie równolegle prowadzono żłobek i przedszkole.

Wychowawczynią klasy brata była trochę utykająca, przesympatyczna siostra Gabriela, ogromnie lubiana przez wszystkie dzieci. Natomiast mnie, pomimo gorących protestów, ponownie ulokowano w przedszkolu, tym razem u tychże siostr, myśląc, że symptom rozłąki z rodziną już nie wystąpi. Ale wystąpił! Toteż w następnym roku szkolnym 1940/1941, chcąc zaradzić rozpacz i apatii, przyspieszono edukację posyłając mnie w wieku 6 lat do I klasy z nadzieją, że może nauka odwróci uwagę od tęsknoty za domem. Pewne przystosowanie nastąpiło dopiero rok później, w II klasie. Lecz odtąd już zawsze, w obcym środowisku towarzyszyła mi ogromnie przeszkadzająca w życiu nieśmiałość i brak pewności siebie. Wyrazem czego, było nieodmienne twierdzenie, że w życiu chcę być tylko zwykłym „ludem”. Wychowawczynią moją przez 3 lata uczęszczania do tej szkoły była siostra Aurelia – Zofia Pencorek, która zmarła w 1987 roku.

Piętrowy, murowany budynek szkolny, który nie przetrwał Powstania Warszawskiego, mieścił się na sporej posesji, w miarę po bokach zadrzewionej, a od ulicy odgródzonej wysokim, szczelnym parkanem z portiernią u furty wejściowej. W jego wnętrzu, w którym poza klasami była również kaplica, dominował wspaniały zapach świeżości. Wszystkie sale były przestronne, wysokie, widne, a podłogi o lśniących parkietach, więc obowiązywał zwyczaj zmiany obuwia. Kapcie były jakości po wojnie już niespotykanej. Wykonane z cienkiej, brązowej skórki, z paseczkiem w poprzek sklepienia stopy, zapinane na klamerkę, miały zelówki z białej, matowej, pomarszczonej substancji przeciwpoślizgowej, umownie zwanej „słoniną”.

W klasach, w których na podwyższeniu górowała tak zwana katedra dla nauczycielki, wyróżniały się ławki o bardzo praktycznych w zastosowaniu ruchomych pulpitach. Przy zajmowaniu w nich miejsc blat odsuwano na około 12 centymetrową stałą, przybrzeżną płaszczyznę, w której był otwór kryjący kałamarz z atramentem.

Podczas pisania pulpit przysuwano do piersi dziecka, co zapobiegało garbieniu się. Ławki te oczywiście miały różne wymiary, uwzględniające wzrost siedzących w nich dzieci. Już nigdy potem nie widziałam tak doskonałych mebli szkolnych. Ponadto w trakcie lekcyjnego wykładu z zasady wymagano, aby ręce odchyłone były do tyłu, co powodowało prostowanie sylwetki.

Gdy jesienią 1940 roku zapisywano mnie do I klasy, a bieda na dobre jeszcze nie wkroczyła, obowiązywał wzór przedwojennego stroju szkolnego. Były to granatowe sukieneczki z białymi lub marynarskimi kołnierzykami, na które nakładano, bardzo zresztą ładne zakrywające tylko cały przód, czarne alpakowe fartuszki z plisowanymi skrzydełkami na ramionach i obramowaniu całości, zapinane krzyżowo na plecach.

W szkole u siostr, ławkę dzieliłam z Marylką Peryt, z której osobą utkwił mi w pamięci pewien szczególny incydent. Otóż obie byłyśmy już po smutnych doświadczeniach z naszymi ojcami, z tą tylko różnicą, że mojemu udało się przed Niemcami uciec, a jej został aresztowany i wkrótce stracony. Toteż, gdy siostra Aurelia zainicjowała modlitwę w intencji taty Marylki, spojrzaliśmy na siebie i jakby zmówione wybuchnęłyśmy głośnym krótkim śmiechem wobec całej klasy. Widocznie w ten zaskakujący sposób odreagowałyśmy nagromadzone w nas przeżycie.

Po przymusowej przeprowadzce z ulicy Wolskiej na ulicę Dzielną 73/77, IV klasę w roku 1943 – 1944 przerabiałam już w Miejskiej Powszechnej Szkole przy ulicy Żelaznej 95c, w budynku tylko przystosowanym do tego celu, toteż wyposażenie odbiegało od znanego mi dotychczas. Moja klasa mieściła się w ciemnej suterenie z zdeptaną, prawie czarną podłogą, w której zwykle ławki ustawiono ciasno w długich rzędach. Może po przesiedleniu ludności z ulicy Wolskiej, kierownictwo szkoły nie miało możliwości pomieszczenia wszystkich zgłoszonych dzieci i nie zdołało przygotować lepszych warunków. Niemniej u brata w V klasie na piętrze było schludniej, widno i jakoś przyjemniej, czego szczerze mu zazdrościłam.

Pomimo tych niedogodności, wielce sympatycznie i pozytywnie wspominam na przykład lekcję śpiewu, na której uczono przedwojennych pieśni żołnierskich. Teraz myślę, że było to bardzo odważne

i patriotyczne działanie nauczyciela, świadczące o atmosferze szkoły, z czego wówczas nie zdawałam sobie sprawy.

Budynek ten został spalony podczas Powstania Warszawskiego. Dziś w jego miejscu stoi blok mieszkalny.

Represje podczas okupacji niemieckiej

Natychmiast po wkroczeniu okupanta w 1939 roku, zaczęły się represje wobec ludności cywilnej. Przybierały lawinowy charakter i obejmowały także różne dziedziny życia domowego, powodując nie tylko zamęt, ale i jego zamierzoną uciążliwość.

Nakaz zdeponowania odbiornika radiowego na komisariacie policji dotknął nas podwójnie. Pozbawił nie tylko nośnika informacji, lecz spowodował również konieczność zrujnowania radioli, mebla stanowiącego chlubę domu, w którego obudowie pozostał już tylko patefon.

Powinności przekazania aparatu w demonstracyjny sposób podjęła się mama, mając nas dzieci jako asystę, aby wszyscy sąsiedzi widzieli i w razie, czego zaświadczyli o spełnieniu obowiązku. Tymczasem był to zwykły kamuflaż. W ramach protestu radia Niemcom nie oddano, lecz zabezpieczone ukryto pod podłogą garażu.

Następnym problemem i o wiele bardziej dotkliwym, była niemożność zdobycia opału do ogrzania całego lokalu. Spowodowało to, że przytulnie urządzone mieszkanie, uległo degradacji zacieśniając powierzchnię użytkową do pokoju i kuchni, którą o zgrozo dla wygody przeniesiono do stołowego. Na powzięciu tej strasznej decyzji, skorzystali tylko pogorzelnicy, którym odnájeto gabinet ojca, bo był z osobnym wejściem.

Natomiast zrujnowanie dotychczasowego wizerunku wnętrza i jego funkcji było dla mnie estetyczną katastrofą. Pogłębiła ona poczucie tymczasowości i byle jakości bytu, którego dalszą uciążliwość dopełniało chociażby ograniczanie energii elektrycznej, dostarczanej przemiennie dla parzystej i nieparzystej strony ulicy w określonych terminach. Gdy zaskakiwał nieoczekiwanie wyczerpany limit kartek na świecę i naftę, a karbidu jeszcze nie stosowano, to już po zmroku zalegające w mieszkaniu ciemności sprzyjały tylko nauce tabliczki mnożenia, snuciu wspomnień, oraz marzeń nie tylko o bardzo porządnym skórkowym bucikach, ale też o jedzeniu, które nagle zostało przywrócone do łask.

Temat jedzenia i marzenie o nim już jak bumerang powracał przez najbliższe dziesięć lat, aby w Oświęcimiu (KL Auschwitz) i Berlinie (komando KL Sachsenhausen) osiągnąć apogeum, a po wojnie stopniowo wyciszyć się dopiero z początkiem lat pięćdziesiątych.

Skończyły się, zatem zakłęcia i namowy oraz grymasy przy posiłkach. Bez sprzeciwu pałaszowaliśmy wszystko, mimo, że jadłospis był całkiem zwyczajny i raczej monotony. Na śniadanie zawsze nieśmiertelne zupy mleczne, przeważnie na bazie czterech przemiennie stosowanych składników: kaszy jaglanej, kartofli, zacierki lub „herculo”, czyli płatków owsianych. Co do innych posiłków, królowały bardzo zresztą smakowite potrawy z przetworzonych kartofli w postaci placków, pyz czy kopytek. Dobrze przyprawiona brukiew na gęsto, znakomicie zastępowała, szczególnie zimą, inne niedostępne jarzyny. A jeśli było mięso, to na pewno konina, do której mama nie była uprzedzona, więc i my też. Chleb smarowano kartkową buraczaną marmoladą, ale za to grubo. Dzięki odstępowanym nam przez sąsiadów niewykorzystanym kartkom przyrządzany był pyszny kisiel, którego nigdy nie mieliśmy dosyć, chyba ze względu na jego słodycz.

Nie przypuszczałam wtedy, że jeszcze po latach przy smarowaniu chleba jawić mi się będzie, jako wspaniały obraz martwej natury, pewna błyszcząca osełka masła leżąca samotnie na talerzyku w obramowaniu blatu pustego stołu. Stołu należącego do pani krawcowej, którą na taki luksus było wówczas stać.

Toteż w następstwie ograniczeń aprowizacyjnych, biedy i godziny policyjnej życie towarzyskie zanikało lub przybierało szczątkowe formy. Definitywnie zatem skończyły się obfitujące w duże grono uczestników i różnorodność prezentów uroczystości wigilijne, imieninowe oraz okolicznościowe spotkania. W zamian, aby rozwiać szarość egzystencji, a spełnić moje i brata oczekiwania, Boże Narodzenie już zawsze uświetniała tylko sięgająca do sufitu choinka, strojona także w wypracowane przez nas dekoracje ze słomki, bibuły i kolorowego glansowanego papieru, ozdobionego buziami aniołków. A mniej niż skromne upominki i tak cieszyły, bo, mimo, że praktyczne były zawsze bardzo oczekiwane i nareszcie wręczane bez uczestnictwa przebranego w okazjonalny strój Świętego Mikołaja, którego bałam się przeogromnie.

Z tej samej przyczyny zaniechany został także zwyczaj zapraszania księdza do święcenia suto zastawianego wielkanocnego stołu. Zwyczajowo piętrzyły się na nim drożdżowe baby, zwinięte pętka kielbasy, kształtna szynka z kością, foremny pasztet, stosik barwionych jajek oraz pieczone prosię, a biel obrusa przystrajały zwoje zielonego widłaka. Tę lukę wypełniało zdobienie pisanek, które niesione do kościoła tam były błogosławione jako symbol pokarmów. Natomiast miniaturowa

święconka z marcepana, ustawiona na stoliczku z dykty nakrytym papierową, ażurowo powycinaną serwetką, cieszyła nas jako zabawka i wyobrażała ten miniony przepych.

Przygodnych gości, już bez żenady częstowano zupą lub plackami kartoflanymi smażonymi na oleju, do których zamiast cukru podawano melasę.

Natomiast na imieniny mamy, aby ją uczyć i sprawić jej przyjemność w wielkiej przed nią tajemnicy, której udawała, że nie dostrzega, najpierw przy pomocy ojca, a później kuzynki Janki, własnoręcznie wypisywaliśmy laurki.

W miarę trwającej okupacji i coraz większej konieczności kierowania wysiłku rodziców, a później tylko mamy na problemy walki o byt, zaczęliśmy odczuwać wielką jałowość w życiu kulturalnym i rozrywkowym. Jednak najbardziej dotkliwym był brak uczestnictwa ojca we wspólnych działaniach, które ukierunkowywały nasz rozwój. Nic, więc dziwnego, że zatęskniłam do tego wszystkiego, co było dla nas dostępne przed wojną.

Tymczasem poza lekturą książek możliwości były raczej żadne. Kino było bojkotowane zgrabnym sloganem „Tylko świnie siedzą w kinie”, a w ogóle czy były jakieś filmy dla dzieci? Więc możliwość obejrzenia jasełek była dobrodziejstwem. Z żalem przyjął koniec przedstawienia, z którego mogłabym nie wychodzić. Wiedziałam, że następne widowisko będzie dopiero za rok.

Tak samo niewystarczające były doraźne zabiegi, księdza Mieczysława Krygiera proboszcza kościoła św. Wawrzyńca przy ul. Wolskiej 140A (zamordowany przez Niemców 5 sierpnia 1944 roku), gromadzenia okolicznej dzieciarni na śpiewaniu kolęd, a przy okazji obdarowywaniu uczestników po *jednym* cukierku.

Toteż I Komunię Świętą przeżywałam nie tylko jako ważny sakrament, lecz także jako bardzo pożądaną uroczystość, bo wymagającą odświętnego stroju, kwiatów, gości, prezentu i fotografii. Wszystkiego, czego od tak dawna się nie doświadczało i zapomniano, że możliwe. Mieliśmy z bratem jednak szczęście. W tym marazmie, ubóstwie i życiu na daleko idące skróty, siostry felicjanki zadbały nie tylko o podniosły nastrój, ale i oprawę całego pamiętnego wydarzenia, i co bardzo istotne umiejscowione w właściwym dla wieku dziecka czasie. Chwała im!

Były też i inne jasne dni, które mogłyby trwać wiecznie! W tej powodzi zmian dotychczasowej obyczajowości mojej rodziny zachowały się tylko letniska! Na czas trwania wakacji w 1941 i 1942 roku wynajęto pobyty na podwarszawskiej linii otwockiej w Michalinie i Józefowie. Ale miesiące letnie w 1943 i 1944 roku spędzaliśmy już w „Olinie”, czyli Otwockim Ośrodku Prewentyjnym dla dzieci zagrożonych gruźlicą, organizowanym przez RGO - Radę Główną Opiekuńczą.

Był to błogosławiony czas, wolny od ciężącego ciśnienia atmosfery strachu związanego z przebywaniem we własnym domu, i wszystkiego, co tak koszmarne realne. Jedyne azyl swobody i spokoju, jedyna możliwość odreagowania stanów zagrożenia. Choć i tu także nagle powiało niepewnością, gdy zaaranżowano zbiorową modlitwę o uwolnienie aresztowanego wychowawcy. Wówczas błyskawicznie przypomniało się niedawne pełne grozy przeżycie związane z ojcem.

Otóż i nasza rodzina również nie była wolna od tragicznego doświadczenia, które bardzo plastycznie zachowało się w mej pamięci. Pewnego mroźnego grudniowego popołudnia w 1941 roku cieszyłam się, gdy pozwolono mi praktycznie wypróbować otrzymany prezent – małe, ale prawdziwe elektryczne żelazko. Sprzyjała temu okoliczność, że nieparzysta strona ulicy Wolskiej miała tego dnia włączony prąd. Pokój oświetlała wprawdzie tylko jedna żarówka, a nie cały żyrandol, ale tę niedogodność rekompensowało przytulne ciepło wnętrza, pomimo srogiego mrozu i obfitego śniegu na zewnątrz.

Raptem w ten błogi, wprost namacalny nastrój spokoju i bezpieczeństwa, który potęgowała obecność wszystkich domowników, wtargnął gwałtowny dzwonek do drzwi. Z relacji przybyłej sąsiadki pani Ireny Bańkowskiej wynikało, że w budynkach od frontu ulicy, a my mieszkaliśmy w głębi posesji w ogrodzie, Niemcy poszukują według posiadanych personaliów mego ojca, inż. Achillesa Gremlickiego.

Wiadomość piorunująco podziałała na wszystkich obecnych.. Z przerażenia ugięły się pode mną nogi, czar wieczoru prysnął, a świat omal nie zawalił. To życzliwe ostrzeżenie wystarczyło jednak, żeby ojciec zdążył uciec przez ogrody i uniknąć aresztowania podczas planowej eksterminacji inteligencji polskiej.

Od tego wydarzenia ukrywał się i nie mieszkał z nami. Kiedy mógł wrócić, był już chory na gruźlicę i w obawie o zdrowie dzieci, nie zrobił tego. W ten sposób mając siódmy rok życia zostałam pozbawiona obecności ojca, a rodzina opiekuna i żywiciela. Naiwnie myślałam, że mijający czas wyciszy tęsknotę i potrzebę jego bliskiej obecności. Myliłam się i to srodze. Brakowało mi go bardzo wtedy i zawsze. Jak wiele dla mnie znaczył i ile był wart najlepiej sama o tym wiem. Był niepowtarzalny.

Wspomnienie ojca

Tata nie tylko nas kochał, ale i wychowywał. Swą aktywną postawą wspierał mamę, która wobec nas była bardzo miękka i ustępliwa.

Lecz jego oddziaływanie na mnie i brata podejmowane było raczej mimowolnie podczas nadarzającej się sytuacji i zawsze przeprowadzane w atmosferze spokoju, serdecznej cierpliwości, ale gdy trzeba stanowcze. Wobec czego dobrze wiedziałam, że przy objaśnianiu „zawilosci” arytmetyki tata domagał się skupienia uwagi i samodzielnego myślenia, a w efekcie końcowym własnego działania, co absolutnie wykluczało wszelką nadzieję, że mnie wyręczy. Raz tylko ustąpił, choć bardzo się wzbraniał. Praca była w szkole zadana, a niesamodzielne jej wykonanie byłoby aż nadto widoczne. I dopiero po usilnych prośbach, narysował mi na brunatnym glansowanym papierze, zapamiętanego na zawsze – niedźwiedzi! Jakąż byłam wtedy szczęśliwa i dumna zarazem z umiejętności taty, gdy okazało się, że mój misio, czego tak gorąco pragnęłam, był istotnie najpiękniejszy w klasie.

Ponieważ przebywanie z tatą zawsze nas w jakimś kierunku edukowało, toteż i wspólne posiłki były znakomitą po temu okazją. Początkowo przestrzegał poprawnego zachowywania przy stole, aby wnet w formie dowcipnie zaaranżowanej zabawy, uczyć nas posługiwania się sztucami, co też wcale nie było łatwe. Zabawa polegała na umownej zamianie nazw jedzonych składników potraw w zależności od ich koloru na „lody” o różnych smakach. Ten, kamuflaż sprawił, że gdy domniemane „lody” z grzbietu widelca spadały, my pełni rozbawienia z zapalem podwajaliśmy wysiłki, aby wkrótce osiągnąć tę zdawałoby się trudną umiejętność i zasłużyć na pochwałę taty.

Podczas innych okoliczności zdołałam się przekonać jak ważne jest dotrzymanie danego słowa oraz podjętych zobowiązań, a całkiem niedopuszczalne wymuszanie szantażem swoich racji. Posłużyło temu dobrowolne zawarcie z rodzicami wspólnie wynegocjowanej umowy na dzienny przydział trzech czekoladek z likierem. Po zjedzeniu od razu wszystkich, natrętnymi prośbami domagałam się następnych. Początkowo zostałam upomniana, a gdy nie pomogło skarcona. I o dziwo, dopiero wówczas uświadomiłam sobie słuszność reakcji taty, co sprawiło, że nie czułam się skrzywdzona i rozżalona, lecz zawstydzona.

Natomiast nasze dziecięce lęki, od których nie byliśmy wolni, tata wyciszał metodą zachęcenia do ćwiczenia samodzielnego wchodzenia do pustego, ciemnego pokoju z solenną obietnicą, że on będzie stał za drzwiami gotów podążyć na ratunek.

Tak samo też wyczuwalna była jego bliska obecność podczas wspólnych zabaw i majsterkowania, w którym w miarę umiejętności braliśmy czynny udział. Wtedy też był z nami, a nie obok – to się czuło.

A ileż okazywał cierpliwego wyrozumienia podczas niedzielnej mszy w kościele św. Wojciecha, gdy staliśmy, bo ławek nie było, nieodmiennie przy tym samym filarze za plecami zasłaniających ołtarz. Wówczas na moje rozpaczliwe powtarzające się pytania: „Kiedy, to się skończy”, nieodmiennie z dobrocią odpowiadał „Już niedługo kochanie” i podawał mi monetę na tacę.

Obserwując zachowania taty uczyłam się jak na cennym wzorcu do naśladowania i krystalizowałam własne poglądy na życie. Toteż, kiedy i w jaki sposób nasiąknęłam patriotyzmem, tego nie wiem, ale zawsze pęczniałam z dumy, że jestem Polką i byłam niepokieszona, gdy odkryłam, że kompozytorzy: Liszt jest Węgrem, a Smetana Czechem.

Jeszcze dziś pełna wzruszenia przypominam zachowany obraz radosnego wieczornego nastroju, kiedy tata grając na fortepianie pięknie gwizdał odtwarzaną przez siebie melodię.

Pamiętam także, jak bezpieczne i przytulne było schronienie pod połą jego pałta w wietrzny późno jesienny wieczór, podczas oczekiwania na przystanku.

Te wszystkie drobnostki obrazki wspomnień, jak cenne perełki nawlekam na nić pamięci o ojcu, który przedwcześnie odszedł, ale w tym krótkim wspólnym przebywaniu tyle zdążył zdziałać, aby na zawsze istnieć niezapomniany.

Borykanie się mamy

Gdy ojca zabrakło, na mamę spadła konieczność samodzielnego utrzymania rodziny. Przeciążona obowiązkami, mając mało czasu dla naszych dziecinnych spraw, w usprawiedliwieniu mówiła: „Dzieci, darujcie, ale teraz nie macie już matki, gdyż zastępuję ojca i więcej nie jestem w stanie podolać”.

Niebawem, po spieniężeniu wszystkiego co cenniejsze, znowu zaczęło brakować środków do życia. Po raz pierwszy w domu nastał prawdziwy głód! Dziwiłam się, że nie ma nawet chleba!

Tymczasem przemęczenie pokonywaniem niemożliwości i zabieganiem o byt tak dalece wyczerpało siły mamy, że zmożła ją bardzo ciężko przechorowana grypa. Po przesileniu choroby, lekarz brat cioteczny mamy Józef Grott, radził i koniecznie zalecał odpoczynek oraz dobre odżywienie!

Gdy sytuacja zdawała się bez wyjścia, mama miała znaczący sen. Przyśniła się jej dawno zmarła matka, która podając bochen chleba i nóż powiedziała: „Masz, krój i jedz”. Interpretując ten sen, a

jednocześnie nie czując się na siłach podołać trudom dalszego utrzymywania rodziny, bo i chorego na gruźlicę ojca trzeba było specjalnie dożywiać, mama podjęła desperacką decyzję sprzedaży placu przy ulicy Wolskiej 117, spadku po swej matce Annie Głogowskiej z domu Windyga.

Wymuszona pilną potrzebą transakcja nie była tak intratna finansowo jak na to zasługiwała, ale zdecydowanie zapobiegła dalszemu głodowaniu i umożliwiła dojście do zdrowia mamie. Sporą część gotówki, przezornie zabezpieczyła nabywając nowoczesne maszyny z zamysłem wyposażenia warsztatu wytwórczego, który mógłby poprowadzić ojciec. Nie było to już jednak takie proste i oczywiste, jak mogłoby się wydawać. Ojciec po uniknięciu aresztowania, podczas tułaczki, rozchorował się na gruźlicę. W efekcie nigdy nie był w stanie zająć się planowanym przez mamę przedsięwzięciem. Zmarł 29 czerwca 1944 roku w wieku 42 lat, miesiąc przed wybuchem Powstania Warszawskiego, unikając pacyfikacji przez Niemców szpitala przy ul. Płockiej, w którym do śmierci przebywał.

Moje lęki

Częściowo pogodzona z nieobecnością ojca, teraz podwójnie drżałam o bezpieczeństwo Matki. Obawa, że w każdej chwili mogę ją stracić w ulicznej łapance była całkiem realna, a dla mnie przerażająca. Zdawałam sobie doskonale sprawę, że od losu mamy zależało moje i brata bezpieczeństwo oraz dalsza egzystencja. Te bardzo egoistyczne wyobrażenia i emocje wobec kochanej Matki, dyktowała mi bezradność dziecka i strach. Przywołując z pamięci okrutne losy bajkowych sierot, bezgranicznie bałam się możliwości własnego osamotnienia i jego konsekwencji.

Niestety, ustrzeżenie nas dzieci od stresującej wiedzy o poczynaniach okupanta w mieście było absolutną niemożliwością. Przeto odwzorowując rzeczywistość i borykając się z własnymi lękami, nie bawiliśmy się już w policjantów i złodziei, lecz w łapanki i rozstrzeliwania, a przy udziale ołowianych żołnierzy przeprowadzaliśmy odwetowe zamachy. Natomiast podczas zbiorowych zabaw, w których należało się określić nazwą jakiegoś państwa, zdecydowanie nikt nie chciał być Niemcami. Mnie szczególnie rozpiekał patriotyzm. Przepojona nim, nieodmiennie chciałam być tylko Polską. Jeżeli nie było to możliwe, odmawiałam udziału w zabawie.

Nic w tym dziwnego, że poglądy, nastroje i niechęć rodziców do Niemców, dzieci mimo woli przejmowały jako właściwe i godne naśladowania. Toteż postępujący terror, o którym informowały listy z długimi spisami osób rozstrzelanych, zamieszczane na słupach ogłoszeniowych, przy których lubiałam wystawać, oraz zasłyszane rozmowy dorosłych, powodowały falę nienawiści i pogardy dla okupanta. Dyshonorem było przyjąć od Niemca jakąkolwiek uprzejmość, a w przypadku dziecka, chociażby cukierek.

Pamiętam, jak głęboko czułam się upokorzona, gdy wartownik niemiecki, obok którego stale przechodziłam, człowiek w wieku mego ojca, na pewno tęskniący do własnych dzieci, od których oderwała go wojna, kierując się serdecznością usiłował zawiązać mi wstążkę na warkoczach. Płonęłam ze wstydu! Ze zgrozą oglądałam się, czy aby ktoś tego zdarzenia nie obserwuje. Przyzwalając na tę poufałość, wydawało mi się, jakobym sprzyjała okupantom, a miałam wówczas zaledwie dziewięć lat.

Ukrywanie żydówki

Szalejące zagrożenie nie wszystkich jednak obezwładniało i osłabiało wrodzoną wrażliwość, ale także wyzwalało odruchy solidarności. Wtenczas łamanie absurdalnych zakazów, stanowiło niekiedy balansowanie na granicy życia, ale tym sposobem niekiedy udawało się uratować innych.

Matka moja nie tylko była dzielna, ale i odważna. Przyjęła na siebie ryzyko ukrywania Żydówki, o której wiedzieliśmy tylko my – dzieci. Gdy ktokolwiek nas odwiedzał, nawet z rodziny, kobieta ta zawsze chowała się do szafy. Od tej pory mieszkanie przestało stanowić względny azyl. Zawsze bałam się w nim przebywać z uwagi na niedozwoloną przez okupanta działalność mamy, lecz od tej pory przeistoczyło się ono w istną bombę zegarową!

Pani ta, której imienia i nazwiska nie znam, o rysach nie budzących wątpliwości, co do semickiego pochodzenia i płomiennych włosach, przed wojną pracowała doraźnie jako biegła maszynistka w firmie ojca. Przyszła do nas przed samą godziną policyjną, we wrześniu 1942 roku. Jednym tchem przekonywała, że to już ostatni z posiadanych adres, że jest bez środków do życia, i prosi o przechowanie, chociaż na jedną noc!

Zaskoczona mama nie kryła przerażenia. Broniła się przed niespodziewaną, a niepożądaną wizytą i jej konsekwencjami, całkiem szczerym przedstawieniem swojej życiowej sytuacji. Z całą mocą podkreśliła fakt, że na skutek nieuleczalnej choroby męża przebywającego w szpitalu na niej spoczywa utrzymanie rodziny. Ponadto, że ogromnie obawia się o los i bezpieczeństwo własnych dzieci. A mieszkanie niezbyt pewne, bo nadal sporadycznie nachodzone przez policję. Byłam świadkiem końca tej

rozmowy, gdy niespodziewanie weszłam do zalanego zachodzącym słońcem pokoju. Dokładny jej przebieg, przypominała mama znacznie później, bo po wojnie.

Lecz taki bezradny, zaszczuty, zrozpaczony człowiek walczący o przetrwanie, którego los wisi na krawędzi, nie słucha najlogiczniejszej argumentacji, nie ustępuje i napiera.

Wbrew logice, mając świadomość grożącej domownikom, a może i lokatorom domu karze śmierci, mama nie miała siły odmówić. Pozwoliła przybyłej pozostać na jedną, potem na drugą i dziesiątą noc. Nocy tych było wiele, ponieważ osoba ta przebywała u nas ponad siedem miesięcy do początku kwietnia 1943 roku to jest czasu, gdy władze niemieckie nakazały rozbiórkę tego i innych domów przy ulicy Wolskiej. W stosownej, a właściwie ostatniej chwili została przeprowadzona przez ogrody do innej rodziny, którą niestety wkrótce musiała opuścić.

Latem 1943 roku dzwoniła jeszcze do przyjaciółki mamy Jadwigi Jamiółkowskiej, z pytaniem, kiedy może znowu do nas wrócić. Widocznie taką możliwość mama tej pani obiecała. Było to już jednak niemożliwe gdyż dom, w którym z konieczności przyszło nam zamieszkać, wydzielony z Getta, a bezpośrednio sąsiadujący z jego murem, ze względu na swe położenie nie mógł już stanowić żadnego schronienia i zapewnić bezpieczeństwo w najmniejszym nawet stopniu.

Jeśli tę kobietę spotkał zły los, byłoby mi przykro, gdyby niesprawiedliwie oceniała moją mamę nie znając realiów naszego nowego miejsca zamieszkania.

Ta fałszywa i z gruntu krzywdząca opinia o Polakach i ich domniemanym braku ofiarności względem Żydów, leży mi głęboko na sercu. W tej kwestii ofiarami byliśmy jednak wszyscy bez wyjątku!

Nowe miejsce zamieszkania – ulica Dzielna 73/77

Nakazaną przez władze okupacyjne rozbiórkę domu przy ulicy Wolskiej, mama nadal przeżywała mając pełną świadomość doznanej krzywdy. Decyzja Niemców nie tylko bezpowrotnie ograbiła ją z rodzinnego domu, z którym związana była emocjonalnie, ale i co najistotniejsze pozbawiła własności dającej niezależność życiową. Wybiegając myślami w przyszłość, zrozpaczona mama oczyma wyobraźni widziała się bezdomną, i to z dwojgiem nieletnich dzieci.

Niebawem jednak, bo za rok, miała się przekonać, że nad rodziną czuwał „palec boży”! Wydarzenie, które wydawało się życiową katastrofą, objawiło się jako zbawienne. Bowiem, opuszczony przez nas teren Woli, w pierwszych dniach Powstania Warszawskiego, został przez Niemców całkowicie spacyfikowany, a ludność cywilna wymordowana. Nielicznym tylko udało się ująć z życiem.

Tymczasem, przymusowo przesiedleni, w poczuciu bezradności wobec zaistniałych realiów, zamieszkaliśmy w wolno stojącym w głębi ogrodu piętrowym domu przy ulicy Dzielnej 73/77, własności hipotecznej Zdzisława Szczerbińskiego i Spółki.

Zajmowaliśmy całe piętro, stanowiące cztery pokoje z kuchnią, podczas gdy na parterze kwatrowały aż trzy rodziny. Te powierzchniowe dysproporcje wynikały z przyjętej przez władze zasady, że przydzielane lokale miały odwzorowywać ilość izb w poprzednim miejscu zamieszkania. Trudnizn wyszukiwania odpowiadających normom pomieszczeń z zasobów, którymi dysponowało miasto po częściowym rozgrodzeniu Getta, spoczywał na barkach wysiedlonych.

Posesja domu, w którym zamieszkaliśmy, była ostatnią po aryjskiej stronie i bezpośrednio graniczyła z Gettem. Od wschodu za jego murem w kierunku więzienia na Pawiaku, biegła dalej przecięta w poprzek ulica Dzielna, a od południa równoległa do niej (leżąca częściowo w Getcie) ulica Nowolipki. Naprzeciwko, po parzystej stronie ulicy, pod numerem 62, mieściła się Fabryka Monopolu Tytoniowego strzeżona przez Wehrmacht i Werkschutzów.

W mieszkaniu często przeprowadzano rewizje, ponieważ przez podwórko, stale kogoś albo coś przemycano z pozornie wymarłego Getta. Z tego powodu, a także w związku z realizacją niemieckiego planu zabezpieczenia fabryki, (tak jak wszystkich innych obiektów wojskowych, przemysłowych i administracyjnych, przed przygotowaną przez AK „Akcją Burza”), wkrótce cały ten teren został zamknięty murem i od aryjskiej zachodniej strony. Dodatkowym odizolowaniem nas od ciągu wysokiej zabudowy ulicy Dzielnej, był przyległy do powstałego muru, stanowiący pustą przestrzeń plac, częściowo tylko wykorzystywany przez właściciela na skład desek. Od tej pory wejście na chroniony przez Niemców teren, w którego obrębie wybudowano jeszcze basen przeciwpożarowy, strzegła uzbrojona załoga betonowego bunkra. W ten sposób dom został niejako „internowany”, a kontrola w nim wzmocniona.

Zamieszkując w tym miejscu od lipca 1943 roku, do pamiętnego wypędzenia w dniu 10 sierpnia 1944 roku, mieliśmy możliwość obserwacji wyburzania i planowej rozbiórki, opustoszałej zabudowy Getta po pacyfikacji ludności żydowskiej. Każdą detonację w pobliżu muru, poprzedzano umownym sygnałem gwizdka, na którego dźwięk otwierano okna, zabezpieczając w ten sposób szyby przed wypadnięciem wskutek podmuchu.

Opustoszałe Getto nie zupełnie też było całkiem wymarłe. Z jego głębi sporadycznie dobiegały odgłosy strzałów, kojarzących się z dokonywaniem egzekucji. Domniemania te, potwierdziły się, kiedy pracująca u mamy pani Katarzyna Szczur, stała się świadkiem takiego rozstrzeliwania pod murem ulicy Nowolipki objętej Gettem, a widocznego z okna I piętra naszego mieszkania. Wydarzenia te komentowane przy nas spowodowały, że gdy będąc na podwórku usłyszeliśmy przeciągłe serie karabinowe w Getcie, bieглиśmy, co tchu na górę aby to koniecznie zobaczyć lub cucić panią Katarzynę, która na taki widok reagowała omdleniem. Pani Katarzyna Szczur, stacjonarnie mieszkała przy ulicy Hetmańskiej 11 na Grochowie, lecz Powstanie Warszawskie zastało ją u nas na Dzielnej. Wypędzona razem z nami, trafiła do KL Auschwitz – Birkenau, a następnie do KL Ravensbrück, skąd wróciła ciężko chora na gruźlicę i wkrótce zmarła.

Była jesień 1943 roku, gdy zupełnie niespodziewanie przeżyłam z bratem pełen grozy „kocioł” łapanki w tramwaju. Mieliśmy odwieźć spory pakunek z niedozwoloną zawartością pod wskazany przez mamę adres przy ulicy Marszałkowskiej. Odprowadzeni przez nią, wsiedliśmy do tramwaju w pobliżu rogu Cmentarza Żydowskiego przy ulicy Okopowej. Tramwaj ruszył, lecz po przejechaniu dosłownie kilku metrów, zatrzymała go niemiecka żandarmeria. Przez obstawione obydwoma pomsty, ludzie ociągając się wychodzili pojedynczo. My, pełni lęku o bezpieczeństwo własne, przez moment zastanawialiśmy się czy nie lepiej byłoby porzucić bagaż i ewentualnie się rozdzielić. Lecz nie zrobiliśmy tego w obawie, aby paczka nie obciążyła kogoś niewinnego, a strata towaru zmartwiła mamę. Toteż, brat nadal targał pakunek, a ja kurczowo się jego trzymałam. Wyszliśmy z tramwaju ostatni. Nie zwrócono na nas uwagi. Wybierali tylko mężczyzn! Ocaleni, pełni szczęścia po doznanych wrażeniach, szybko oddalając się z miejsca zagrożenia, zziębnięci dobiegliśmy do następnego przystanku, skąd zabrał nas ten sam tramwaj.

Ostatnią wigilię w Warszawie 1943 roku zapamiętałam jako pełną emocji. Spędzaliśmy ją u przyjaciół mamy, państwa Jadwigi i Antoniego Jamiołkowskich, przy ulicy Bednarskiej 6. Po tradycyjnej kolacji, dorośli pozostali przy stole, a ja, brat i syn gospodarzy Jerzyk czmychnęliśmy do sąsiedniego pokoju, gdzie u stóp choinki, wypróbowałyśmy działanie prezentu, którym była armatka na kapiszony. Pech sprawił, że ta bardzo atrakcyjna zabawka, odpalając wstecz stała się przyczyną pożaru, który o zgrozo strawił firanki. Po ugaszeniu płomieni, odżałowaniu przez gospodynię strat i ustaleniu jak to się stało, ktoś złowroźnie ocenił zaistniałe wydarzenie. „No tak, Niemcy już spalili Getto, wymordowali Żydów, teraz przyjdzie kolej i na nas Polaków”. I rzeczywiście, ta upiorna przepowiednia spełniła się, co do joty. Wigilię 1944 roku, moja rodzina przeżywała już w obozie koncentracyjnym Auschwitz – Birkenau, a wyludnioną Warszawę, Niemcy zrównali z ziemią!

Tymczasem nastąpiły wakacje. Zamiast się radować byłam pełna smutku i pogrążona w żałobie gdyż 29 czerwca 1944 roku umarł tata! Po jego pogrzebie już z ogromną niechęcią wróciłam na letniskowy turnus do Otwocka, bowiem nieodparcie odczuwałam potrzebę bliskości mamy. Moje pragnienie miało się spełnić dopiero pod koniec lipca, a przyczyną był niepokój panujący w Warszawie. Ulicami ciągnęły liczne tabory wycofującego się niemieckiego wojska, zapowiadające rychłe zakończenie wojny. Potwierdzał to huk dział zbliżającego się frontu wschodniego.

Niepewność, co do dalszego przebiegu wydarzeń oraz obawa, że możemy ulec rozproszczeniu skłoniła mamę do nieoczekiwanego przerwania, naszego z trudem zdobytego na całe wakacje pobytu w otwoczkim prewentorium. I choć wcześniej rozważała możliwość, bo taka się wyłoniła, dołączenia do nas w Otwocku, to zupełnie zrozumiała zapobiegliwość o ruchome mienie, gwarant bytu i egzystencji wdowiej rodziny, była przyczyną decyzji sprowadzenia nas do Warszawy. Wtedy mając już dzieci przy sobie i baczenie na szczątki majątku, mama na razie osiągnęła względny spokój.

Wybuch Powstania Warszawskiego

Pierwszego sierpnia 1944 roku około południa mieliśmy całą trójką wybrać się po kartofle do rodziny mamy, Cecylii i Franciszka Windygów zamieszkałych w Odolanach na obrzeżu dzielnicy Wola. Z jakichś przyczyn wyjście z domu się opóźniało. Kiedy byliśmy już gotowi, zaczął padać drobny przelotny deszczyk, który przeczekaliśmy jedząc obiad. Gdy wyczerpały się wszelkie wstrzymujące nas przeszkody to niespodziewanie na naszej ulicy Dzielnej, rozległy się pierwsze strzały. Była na pewno godzina 16.00.

Potwierdza to powojenna lektura książek Antoniego Przygońskiego i Jerzego Kirchmayera na temat Powstania Warszawskiego, z których dowiedziałam się dopiero, że przy ulicy Dzielnej 72 w Zakładach Leopolda Kamlera, była zlokalizowana kwatera dowodzenia Komendy Głównej Armii Krajowej. Niespodziewana próba wejścia Niemców na teren fabryki, rzeczywiście doprowadziła do przedwczesnego starcia z plutonem stanowiącym jej ochronę, właśnie o godzinie 16.00.

Na odgłos przeciągającej się walki, mieszkańcy schronili się do piwnicy, w której panujące ciemności rozpraszał nikły płomyk świecy, bo okienka dużo, dużo wcześniej pozatykano workami z pia-

chem. Ale wnet za przyczyną zebranych, światelko to oświetlało już także obraz Matki Bożej, której zawierzono ocalenie!

Niebawem do domowników dołączył, usiłujący wcześniej zaprzyjaźnić się ze mną, członek niemieckiej załogi wartowniczej strzegącej fabryki Monopolu Tytoniowego, zlokalizowanej naprzeciwko naszego domu. Dla obopólnego bezpieczeństwa, tegoż unikającego udziału w walce żołnierza, ulokowano w jej najdalszym ciemnym kącie.

Czas mijał. Walka trwała. Odgłosy strzałów dochodzące do wnętrza raczej się nasilały, dlatego nadal nikt jej nie opuszczał.

Tylko pani Katarzyna razem z mamą, narażając się na postrzał zaryzykowały i znosiły z I piętra naszą garderobę oraz pościel, zrzucając ten ruchomy dobytek jak popadnie na stertę w małej powierzchni należącego nam boksu.

Było dobrze po północy, może druga lub trzecia nad ranem już drugiego dnia sierpnia, gdy przyszli powstańcy z Batalionu Miotła. Wtedy dowiedzieliśmy się, że w wyniku dotychczasowej walki, zdobyty został Monopol Tytoniowy i nasza ulica jest już także wolna. Rozpytywali tylko, czy nie ma Niemców. Zapanowała koncentracja. Swoich nie mogliśmy oszukiwać. Przekazując chroniącego się pośród nas niemieckiego żołnierza proszono, aby nie czyniono mu krzywdy. Zabierający go powstańcy solennie uspakajali zapewniając, że jeńców nie zabijają. Po oświadczeniu tym, w które uwierzyłam, ulżyło mi niezmiernie. Był to, bowiem ten żołnierz – wartownik, który zawiązywał mi kiedyś wstążkę. Mimo, że wówczas potwornie się tego wstydziałam i miałam mu za złe, to chyba podświadomie go lubiłam. A teraz w sytuacji, w której się znalazł było mi go naprawdę ogromnie żal.

Rano, korzystając z chwilowej ciszy po ustanych walkach w tej części ulicy, krocząc za mamą opuszczającą piwnicę, usłyszeliśmy jej ostrzegawczy okrzyk „Dzieci nie patrzcie!” Za późno! Nam wystarczył jeden błysk spojrzenia, aby ogarnąć i zachować na zawsze w pamięci obraz rzeczywistości!

Wzdłuż wysokiego muru odgradzającego naszą posesję od zachodniej części ulicy Dzielnej, stały oparte o niego wysokie drabiny. Najwidoczniej służyły Niemcom, broniącym dostępu do Monopolu Tytoniowego, jako pozycje strzelnicze. Ale dopiero pod nimi widok był bardzo ponury, bowiem tam leżały zwalone ciała zabitych żołnierzy. Natomiast po przeciwnej stronie pod murem Getta, widniała jakby osunięta i skulona w kucki zastygła postać powstańca. W basenie przeciwpożarowym, który był w ciemnościach nocy niespodziewaną pułapką, znajdowały się dwie osoby z tragicznie rozrzuconymi rękoma.

Na te poruszające wyobraźnię widoki, mnie i brata natychmiast opanował duch bojowy, który mama zaraz skutecznie zgasła. Lecz nim ponownie przez nią zgarnięci, trafiliśmy do piwnicy, bo znowu rozpoczął się ostrzał, zdążyłam te wszystkie makabryczne sceny dokładnie w pamięci zarejestrować i utrwalić.

Pomimo, że od minionej nocy byliśmy już wolni, a teren przez powstańców opanowany, niemniej walka z Niemcami nie ustawała. W naszym mieszkaniu na I piętrze, stanowiącym doskonały punkt obserwacyjny w kierunku południa i północy, powstańcy doraźnie urządzili bardzo im dogodne stanowisko strzelnicze, wykorzystując w tym celu przysunięty do okien fortepian. Wprawdzie ich obecność i działanie na tym odcinku trwały zaledwie chyba tylko dwa dni nim przenieśli się w inny rejon, to mieszkanie uległo już częściowej dewastacji, bo pociski padały i w tę stronę.

Z prawdziwym jednak zachwytem i zadziwieniem zdążyłam jeszcze zobaczyć, jak zdobyczny czołg, którego nazywano „Tygrysem”, a może była to „Pantera”, nieznacznie tylko wspinając ku górze gąsienice, mięciutko rozwalil mur odgradzający ulicę Dzielną od Getta i wjechał na jego teren.

Po odejściu powstańców, czując się nieswojo w osamotnionym miejscu otoczonym zewsząd murami, razem z garstką mieszkańców naszego domu przenieśliśmy się do istniejącego obok ciągu wysokiej zabudowy ulicy Dzielnej, a konkretnie pod numer 79. Ludzie z tych kamienic, razem z przybywającymi z zewnątrz takimi jak my szukającymi schronienia, koczowali przeważnie w piwnicach, z których ja ciągle uciekałam, gdyż było w nich nudno, mroczno i bardzo przygnębiająco. Nawet niezbyt odległe bombardowania wołałam przeczekać wśród rówieśników na podestach klatki schodowej, niż w ich czeluściach, gdzie starsze kobiety lamentowały i komentowały bieżąco wszystkie aktualne zdarzenia.

Mimo usiłowań mamy, podczas tych kilku, bo zaledwie dziesięciu powstańczych dni, nie sposób było mnie i brata zupełnie odizolować od przemierzanych z tragizmem i niecodziennością różnych przekazów oraz samych wydarzeń, których faktycznie poniekąd byliśmy świadkami. Gdy uderzył gdzieś szrapnel, odłamki zabiły mężczyznę, a jego żonę tylko dotkliwie raniły, podczas gdy oboje w tym samym czasie znajdowali się w oddzielnych kabinach podwórkowej ubikacji. Tego samego jeszcze popołudnia w wykopanym na podwórku jednym dole, chowano tego człowieka i kogoś jeszcze. Był to smutny widok. Żadnej ceremonii, żalu tak z konieczności, po prostu. Trumny zastąpiły prześcieradła.

Innym razem był jeszcze widny dzień. Za parkanem posesji, na pustej przestrzeni porośniętej chwastami przyległej do ul. Zegarmistrzowskiej (dawna Wolność), ktoś usłyszał jęki. Wezwano sanitariuszki. Wtedy rozgorzała dyskusja, czy aby się nie przesłyszano. I natychmiast zaczęto wątpić w sens interwencji, biorąc pod uwagę bezpieczeństwo dziewcząt, które być może niepotrzebnie

narażono by na ryzyko. Z ulgą odeszły. Lecz kiedy nocą przeszukano teren, stwierdzono, że wzywający pomocy już nie żył.

W tych dniach względnie bezpieczne było tylko poruszanie się wzdłuż całego ciągu budynków, bez potrzeby wychodzenia na ulicę, przez poprzebijane w ścianach domów duże otwory. Przejścia te wykorzystywali nie tylko powstańcy, ale i nieliczni uciekinierzy z ulic Woli, przynoszący makabryczne relacje, o bestialskim postępowaniu Niemców i Ukraińców z ludnością cywilną.

Represje osób z naszej rodziny

Dopiero po wojnie dotarły do nas wiadomości, że kuzynka mamy, Zofia Grott urodzona w 1906 roku, córka Józefa, Walentego i Karoliny, właścicielka posesji przy ulicy Wolskiej 114, powstania nie przeżyła. Została zamordowana wraz z lokatorami swego domu oraz spędzoną ludnością cywilną zamieszkującą posesje znajdujące się pomiędzy ulicami Grabowską, a Elekcyjną po obu stronach ulicy Wolskiej. Upamiętniająca tablica usytuowana przy rogu ulic Elekcyjnej i Wolskiej obwieszcza, że „W dniach 5 i 8 sierpnia 1944 roku, w masowych egzekucjach ludności cywilnej, hitlerowcy zastrzelili około 4000 mieszkańców Woli z domów przy ulicy Wolskiej 114, 117, 119....”.

Wydarzenie to relacjonowała cudem ocalała z tego pogromu zaprzyjaźniona z mamą pani Wojciechowska, która wraz z córką, Lusią (chyba lat 21), uczestniczyła w zbiorowym rozstrzale. Niemcy, mając świadomość, że od razu nie udało im się wszystkich zabić, wezwali jeszcze żyjących, aby się podnieśli obiecując darowanie życia. Pani Wojciechowska wstała i w stanie szoku opuściła to miejsce, mimo że słyszała za sobą wołanie rannej córki „Mamo, mamo!” Wołanie to, na które wówczas nie była w stanie zareagować, nigdy już jej nie opuściło i było przyczyną późniejszej choroby psychicznej.

Kuzynostwo mamy, Anna Windyga (obecnie Lipińska) oraz jej siostra Barbara Wójcik z mężem Aleksandrem, właściciele posesji przy ul. Wolskiej 141, zdołali szczęśliwie uratować się ucieczką poprzez ogrody w momencie, gdy wyciągano lokatorów od frontu ulicy. Zabito jednak ich wieloletnią kaleką nianię, panią Mariannę Stańczak, która nie zdołała za nimi nadążyć.

Przetrwały także kuzynki Irena i Kazimiera Windyga, właścicielki posesji przy ul. Wolskiej 119, dzięki temu, że trzy krytyczne dni przeleżały ukryte pod słomianymi matami do nakrywania okien inspektowych. Ten pełen ryzyka krok ratujący im życie podjęły słysząc odgłosy wypędzania przez Niemców rodziny państwa Gardockich, zamieszkujących dom tuż za ich parkanem, który szczelnie spowity dzikim winem odgradzał te dwie posesje. Wyprowadzone dopiero 8 lub 9 sierpnia zostały skierowane poprzez obóz w Pruszkowie na przymusowe roboty na roli w Burgerwiesen pod Landsbergiem nad Wartą – obecnie Gorzowem Wielkopolskim. Przed opuszczeniem dzielnicy Wola były świadkami palenia stosu ludzkich zwłok w rogu parku im. Sowińskiego od strony ul. Wolskiej i Elekcyjnej.

Brat mego ojca, Modest Gremblicki urodzony 15 czerwca 1908 roku został wypędzony z ulicy Czerniakowskiej wraz z żoną Jadwigą i 3 – letnim synkiem Andrzejem do obozu przejściowego w Pruszkowie. Żonę z dzieckiem wywieziono na wieś pod Częstochowę, zaś on sam został skierowany 17 września 1944 roku do KL Auschwitz – Birkenau. Jego numer obozowy 197472. Następnie 4 listopada tego samego roku przeniesiony do KL Buchenwald, podobozu Wansleben – gdzie pracował w fabryce części samolotowych. Wyzwolenia, przez Armię Amerykańską, doczekał podczas marszu ewakuacyjnego. Kiedy wrócił do spalonej Warszawy odnalazł rodzinę.

Natomiast mój cioteczny brat, syn Waławy siostry mego ojca 22 letni Zbigniew Pyrzyński, wywieziony w połowie września 1944 roku z Anina, poprzez obóz w Pruszkowie, do Polic podobozu KL Stutthof, tam został stracony.

Wypędzenie z Warszawy 10 sierpnia 1944 roku

Przed podobnymi relacjami mama skutecznie nas wtedy strzegła. Jednak sama pod wrażeniem innych, w poczuciu niepewności do nadchodzących wydarzeń, postanowiła spakować ewakuacyjny tobieł. Na tę okoliczność 10 sierpnia 1944 roku około południa wróciliśmy tylko we dwie z mamą, bez brata Leszka, do naszego opuszczonego domu pod numer 73, z zamiarem umycia mi głowy i posegregowania zwalonych wcześniej w piwnicy rzeczy.

Ledwie podjęliśmy działanie, gdy zdyszany brat przybiegł z wiadomością, że wszystkich ludzi z ulicy Dzielnej wypędzają Ukraińcy. Dopiero teraz mam świadomość, co on przeżył biegnąc przez opustoszały otwarty teren w przeciwnym kierunku niż wskazany, aby nas niczego nie przeczuwające o tym fakcie powiadomić, a jednocześnie uratować życie!

Tymczasem pomimo grozy, sytuacja stała się wprost groteskowa. Mama pośpiesznie ze sterty zwalonej i pomieszanej z bielizną garderoby, poczęła wygrzebywać potrzebne do zabrania rzeczy. Przede wszystkim zimowe buty oraz okrycia i nie tylko nasze, ale jako bardzo wartościowe, nieżyjącego już od miesiąca ojca. Przy tej czynności, jak zacięta płyta gramofonowa, do siebie powtarzała „Mój Boże, mój Boże już nigdy nie będę miała puchowej pościeli!” Ja, stojąc obok, dziwiłam się niezmiernie tej rozpacz, nie zdając sobie sprawy, że bywa również i inna niż puchowa pościel. I rzeczywiście, przewidywania mamy się ziściły! Późniejsze życie tak się potoczyło, że takie luksusy już nigdy nie były dla nas dostępne.

W tym czasie brat Leszek, bardzo zdenerwowany naszą zwłoką, świadomy ryzyka, stojąc na schodach piwnicy w głąb jej nawoływał, „Chodźcie już, chodźcie szybko, co tak długo, chodźcie, już wszyscy poszli, chodźcie szybko, bo nas zastrzelą!” My nie wiedziałyśmy, że Ukraińiec, który wypędzał ludzi krzyczał „Uchadyj, uchadyj, pośledniego ubiju!” (wychodźcie, wychodźcie, ostatniego zastrzele), toteż nie poddając się jego panice, spokojnie kończyłyśmy wybieranie wszystkiego, co wydawało się niezbędne. Przejęta sugestią mamy, że możemy do domu już nie wrócić, zależało mi, aby jak najwięcej rzeczy zabrać. Próbowałam nawet z innymi sukienkami przemycić i tę od komunii, czego mama samym wymownym spojrzeniem mi odradziła.

Nikt z nas nie pomyślał o fotografiach i dokumentach zgromadzonych w szufladzie kredensu na górze. Zresztą nie było czasu na myślenie, trzeba było szybko działać, gdyż wypędzenie było nagłym zaskoczeniem. Mama i tak była przytomna, zabierając dokument tożsamości, czyli kennkartę oraz ocalałe, a bardzo nieliczne kosztowności, zachowane dotychczas jako cenne pamiątki rodzinne. Były to tylko dwa pierścionki z brylantami, obrączka i srebrny Longines „cebula” – zegarek ojca. Z żywności, resztki słoniny, cukru i suchary, poza tym także jedyny 500-złotowy banknot, ówczesny „góral”, który tylko mamie został.

Nauczona bolesnym doświadczeniem z 1939 roku, gdy zablokowano konto bankowe, chcąc przechrzyć los, wszystkie posiadane pieniądze zainwestowała w materiał do produkcji, którą aktualnie prowadziła. Lecz tym razem, to zdawałoby się logiczne rozumowanie nie było trafnym zabezpieczeniem, ponieważ nie przewidziała Powstania Warszawskiego i jego konsekwencji.

Wypędzona z Warszawy nie miała definitywnie już nic! To, co zdołaliśmy unieść i mieliśmy na sobie było wszystkim, co udało się w ogóle uratować!

Kiedy wychodziliśmy z domu, mimo sierpniowego upału, odziani byliśmy w potrójnie nawarstwioną garderobę i palta, a zimowe buty związane sznurowadłami dyndały przerzucone na ramionach. Mama w futrze z lisem przewiązanym w pasie i paltem ojca nałożonym na wierzch, w rękę trzymała jeszcze tobolek z żywnością oraz w ostatniej chwili złapanym garniturem ojca i nowiutką zmianą bielizny pościelowej w nadziei, że podczas noclegu gdzieś w stodole się przyda.

Jako ostatni, z rękoma uniesionymi ku górze, nie oglądając się, opuszczaliśmy ulicę Dzielną, kierując się za oddalającymi ludźmi na drugą stronę ulicy Okopowej.

Dopiero to poddańcze uniesienie rąk uświadomiło mi realne zagrożenie i wywołało strach!

Punktem zbornym, do którego zdążaliśmy była spora przestrzeń utworzona pomiędzy prawie równoległymi do siebie ciągami kamienic ulic Okopowej i Gibalskiego, które od ulicy Żytnej zamykała barykada. W jej tle na trójnogu stał karabin maszynowy z obsługą gotową do strzału. Przeciwnym przejściem, od ulicy Okopowej, napływali bezbronni, nierzadko objuczeni tobołami ludzie, którzy po zlustrowaniu sytuacji, rozpraszali się pod ścianami budynków. Przezornie zajęliśmy miejsce tuż przy prawej stronie barykady z tyłu za stanowiskiem strzeleckim, pod oknem wysokiego parteru, gdzie dostrzegłam miotającego się w klatce kanarka. Było mi ogromnie żal, że został sam, choć nie wiedziałam wtedy, że już na zawsze.

Podczas oczekiwania nakazano rozebrać w barykadzie wąskie przejście, którym zaczęto wprowadzać oddzielone od mężczyzn kobiety i dzieci. Skierowani na prawo w ulicę Żytnią, mineliśmy ulicę Karolkową, aby dalej odbijając od jej lewej strony, na przelaj przez jakieś puste parcele dotrzeć do ulicy Leszno. Następnie po dobrnięciu i przecięciu ulicy Młynarskiej wkroczyliśmy w ulicę Górczewską.

Milczący tłum szedł jezdnią. My trzymaliśmy się prawego krawężnika, co umożliwiło obserwację tej strony ulicy. Niemal na samym jej początku przyciągnęła moją uwagę leżąca na jezdni tuż przy chodniku porzucona puchowa kołdra. Ogromnie zadziwił mnie i wprost zaskoczył kolor jej pokrycia. Barwa nasyconego seledynu, a na odwrocie heliotropu, była tak odmienna od znanego mi zestawienia odcieni starego złota i moreli na pozostałych kołdrach w domu, że aż nie mogłam uwierzyć w możliwość istnienia takiej różnorodności.

Z tych prozaicznych, aczkolwiek miłych rozważań, wyrwało mnie raptem wywołujące zawsze odwrotny skutek ostrzeżenie mamy „Dzieci nie patrzcie!” Tym bardziej chciałam zobaczyć, co takiego na początku ulicy Górczewskiej tak poruszyło tłum, że zafalowało w nim jęklwym pomrukiem. Wspięłam się na palce i ponad głowami idących ujrzałam po przeciwnej stronie ulicy na tle gruzowiska domu zwęglony stos przypominający czarne belki. Nie wiedziałam wówczas, co rzeczywiście było jego materiałem.

Obecnie w tym miejscu usytuowana jest upamiętniająca tablica, świadcząca, że „Tu dnia 5 sierpnia 1944 roku hitlerowcy rozstrzelali i spalili około 2000 Polaków”.

Nieco dalej, w okolicy placu Opolskiego, zbulwersowała idących innego typu rodzajowa scenka. Wprost na ulicy, przed cofniętym od trotuaru domkiem, przy stoliku, na którym stał patefon, siedział w nonszalanckiej pozie oficer niemiecki słuchający muzyki, a przed nim defilował pochód wypędzanych ludzi.

Gdy minęliśmy to widowisko zatrwożył mnie budzący przerażenie obrzmiały trup kobiety, leżącej tuż za siatką w samym narożniku ogrodzenia, sporego uprawnego pola. Lecz nim zdążyłam ochłonąć z wrażenia, a już skręciliśmy na lewo w dość wąską ulicę Działdowską, której zabudowa paliła się żywym ogniem. Żar był tak nieznośny, że z konieczności już rozciągnięci w kolumnę, szliśmy osiłą jezdnią, podczas gdy papiery unoszone gorącym podmuchem fruwały ponad dachami i całą ulicą.

Po skręceniu na prawo w ulicę Wolską i dobrnięciu do kościoła św. Wojciecha, który wcześniej był świadkiem: ślubu moich rodziców, naszych chrztów i komunii, miesiąc wcześniej nabożeństwa żałobnego ojca, a teraz haniebnego wypędzenia z miasta, nie zatrzymywani doszliśmy do ulicy Bema. Przed jej rogami płonął ciąg domów, a wydobywające się z okien mieszkania szkolnego kolegi jezory ognia, oblizywały wyższe piętro. Widok ten przeogromnie poruszył mego brata Leszka.

Po wejściu w ulicę Bema, posuwaliśmy się już chodnikiem, cały czas prowadzeni i nadzorowani przez idących poboczem jezdni, uzbrojonych niemieckich żołnierzy.

Upał, zmęczenie długim marszem i silnie działające na psychikę wrażenia sprawiły, że mój brat Leszek dostał ataku hysterii. Rozrzuciwszy na boki poły swej peliski na tchórzach, którą z konieczności miał na sobie, głośno protestował krzycząc, że mu gorąco, że ma tego już dosyć i dalej nie pójdzie!

Mama, aby przerwać jego załamanie, wskazując Niemców, opanowanym głosem powiedziała „Idź i im to powiedz!” Pomogło i otrzeźwiło. Natychmiast się uspokoił.

Ja natomiast, przeciwnie niż on, nie czułam wcale upału, ale już zupełnie nie pamiętam dalszej trasy, którą dotarliśmy do Dworca Zachodniego. Wiem tylko na pewno, że było jeszcze widno, gdy załadowywaliśmy się do podmiejskiej kolejki elektrycznej, choć opuszczaliśmy ją w Pruszkowie podczas panujących na dworze ciemności. Mama korzystając z ich osłony, zamiast trzymać się tłumu, raczej z niego się wycofała, aż zostaliśmy na torach sami.

Pruszków – Durchgangslager 121

Nie domyślałam się wtedy, że mama urodzona w Pruszkowie – Żbikowie, na którego terenie usytuowane były Kolejowe Warsztaty Naprawcze, miała zamiar uciec i schronić się z nami u rodziny swego ojca.

Przejęci naszym oddaleniem od ludzi, nie chcąc być na widoku, pociągnęliśmy mamę za załom muru biegnącego wzdłuż torowiska. Ale tu czyhała przykra pułapka, w którą nieświadomie daliśmy się złapać. Otóż od tego wschodniego szczytu, o czym nie wiedzieliśmy, prowadziło wejście i wjazd dla wagonów na teren, gdzie Niemcy zorganizowali przejściowy obóz dla wypędzonej ludności z Warszawy.

Zaskoczeni, bo przy otwartej bramie stała uzbrojona warta, nie mogąc się już wycofać, weszliśmy do środka. Posuwając się do przodu, pośród ciemności omal nie wpadliśmy na puste bydłecze wagony, które stały na torze równoległym do muru, ale już po wewnętrznej stronie obozu. Potykając się brnęliśmy drogą w głąb. Zatrzymano nas dopiero w załomie pomiędzy dwoma budynkami, gdzie w świetle reflektorów przeprowadzono wstępną selekcję. Najpierw wywoływano rodziny tramwajarzy i kolejarzy, następnie oddzielono kobiety i dzieci. Wtedy mama kazała nam ugiąć kolana, abyśmy sprawiali wrażenie jeszcze młodszych. Trafiliśmy do pierwszego budynku najbliższej rampy, który okazał się dużą halą, pozbawioną jakichkolwiek warunków do odpoczynku, a tym bardziej spędzenia w niej nocy. Nierówności w betonowej podłodze i sterzące żelastwo po rozmontowanych urządzeniach stanowiły raczej zagrożenie. Mimo to, zdrożeni ludzie stopniowo wypełniali jej powierzchnię, siadając byle gdzie i jak popadło. Mama, usadzając nas na podłodze nakazała, abyśmy nie zmieniali miejsca. Sama gdzieś poszła, a my natychmiast zasnęliśmy.

Rano gruchnęła wieść, że wartowników u wyjścia na zewnątrz zmieniono z „zielonych” mundurów na „czarne” lub odwrotnie. W każdym razie na bardziej rygorystycznych, a więc wykupienie wolności za złoto stało się już zupełnie nierealne.

Wczesnym popołudniem, a był już 11 sierpnia, rozdzielono tłum zalegający halę, kierując go do dwóch przeciwnych wyjść. Opuściliśmy ją przejściem od strony wschodniej i ruszyliśmy na lewo, w głąb porośniętego badyłami terenu. Zaniepokojeni, że nie było z nami nikogo ze znajomych, zawróciliśmy, ale hala była już pusta. W poszukiwaniu wyprowadzonych ludzi przeszliśmy przez wyjście zachodnie i raptem znaleźliśmy się na rampie, gdzie załadowywano transport.

Dołączeni do wyjeżdżających upchnięci w pełnym już bydłeczym wagonie, z konieczności usiedliśmy blisko drzwi, które zaryglowano. Nikt nie wiedział, dokąd mają nas wywieźć. Pociąg ruszył, aby

niebawem zatrzymać się w Skierniewicach. Gdy otwarto wagon, na dworze było już ciemno, a my zaspani. Tymczasem służba PCK rozpytywała, czy są chorzy i małe dzieci. Nikt poza nami się nie zgłosił. Mamie polecono położyć się na noszach i udawać chorą. Kiedy zapytała, co z tobą, w który dopiero w Pruszkowie zdołała do reszty spakować cały wyniesiony dobytek, usłyszała „Trzeba zostawić”. Zanim zdążyła dokonać błyskawicznej analizy sytuacji, co może się z nami stać przy braku pieniędzy i po wyzbyciu się nawet ciepłej odzieży, kiedy w nie tak odległym czasie miała nadejść zima, jakiś młody człowiek wykorzystał ten moment i zajął nosze, po czym natychmiast został na nich wyniesiony. Mam nadzieję, że ku wolności. My wsiedliśmy do wagonu, którego drzwi zatrzaśnięto z loskotem.

Rozwarły się ponownie, kiedy było już widno, a pociąg stał na przedpolu. Jacyś okoliczni ludzie podawali wodę, można też było załatwić potrzeby fizjologiczne.

Dopiero chyba gdzieś pod Częstochową doszły nas wieści, że transport skierowany jest do Oświęcimia (KL Auschwitz- Birkenau). Mama doznała szoku. W rozpaczy biła głową o ścianę wagonu. Przeraziłam się jej stanem.

W tym momencie nie pamiętałam, że rok wcześniej podsłuchiłam rozmowę dorosłych na temat obozu oświęcimskiego i dziejących się tam potwornościach. Relacja była tak makabryczna, że wysłuchania jej do końca sama sobie zakazałam, uspakajając się w głębi ducha, że nie jest przecież możliwe, aby mnie coś takiego mogło spotkać, więc, po co mam słuchać i wiedzieć. Toteż nazwę „Oświęcim” tak dalece wyparłam z pamięci, że usłyszaną nie kojarzyłam z tamtą złowieszczą opowieścią.

Obóz koncentracyjny Auschwitz-Birkenau

Było upalne słoneczne wczesne popołudnie, gdy zapowiedzi kolejarza się spełniły. Wbrew nadziei na wolność, 12 sierpnia 1944 roku pociąg zatrzymał się na stacji Oświęcim (Auschwitz) lub jego bocznicy.

Przywiezionym ludziom pozwolono wysiąść i przebywać w obrębie wagonów. W poszukiwaniu wody, której odczuwaliśmy dotkliwy brak, wdrapałam się z bratem na zbiornik przy lokomotywie ustawiony pod wysokim słupem zwanym żurawiem wodnym. Rozczarowanie nasze było jednak ogromne, bo na jego dnie była tylko ruda breja. Poza tym nie działo się prawie nic godnego mojej uwagi. Rozeszła się tylko wieść, że nie należy mieć złotych pieniędzy, gdyż za ich posiadanie grozi kara śmierci. Informacja ta wystraszyła jakąś kobietę, która myśląc, że jej nikt nie obserwuje, sprytnie podłożyła spory rulonik pod koło wagonu. Lecz niebawem rozległ się krzyk jej rozpaczy. Otóż, gdy wiedziona złym przeczuciem po ukryty „depozyt” wróciła, niestety już go tam nie było.

Spaliśmy, gdy wagony przetoczono na rampę Brzezinki (Birkenau). Ich otwarciu towarzyszył mrok nocy rozświetlony reflektorami, ujadające psy i wrzaski SS-manów.

Ruszyliśmy za tłumem w prawo od rampy, drogą pomiędzy dwoma, oddzielnymi drutami, odcinkami lagrów BIIc i BIIId, (oznaczenia odcinków poznałam w trakcie pobytu w obozie). Wyłaniające się ostrożnie zza naroży widniejących baraków postacie pytały: „Ludzie skąd jesteście?” Na co nieliczni z rezygnacją odpowiadali „Z Warszawy”. Droga wydawała się bardzo długa. Panujące ciemności uniemożliwiały obserwację mijanego terenu, ale na ich tle tym wyraźniej eksponowała się ogromna luna widoczna w głębi po lewej stronie. To, co palono wydzielalo potwornie gryzący, mdławy odór. Dzięki temu, że miałam na sobie lisa mamy, mogłam się bronić przed wdychaniem tego fetoru, wachając perfumy, które przetrwały w futrze.

Wreszcie dotarliśmy do sporej grupy baraków „Kanady”. Pierwszy blok, do którego nas doprowadzono był przepelniony, w drugim także nie było miejsca, a ludzi stale przybywało. Pod ścianą wypatrzyliśmy jednak niezajęty skrawek, a to tylko dlatego, że pokrywała go niewielka kałuża. Wprawdzie barak nie miał podłogi, lecz ona nie wsiąkła. Zdesperowana mama nie zastanawiając się nakryła to podmokłe miejsce swoim futrem, a na wierzch położyła ojca palto. Na powstałym legowisku przetrwalimy wszyscy troje resztę nocy.

Rano w okolicy „Sauny” (łaźni) ustawiono stoliki, przy których zaczęto od przybyłych przyjmować w depozyt: pieniądze, kosztowności i dokumenty. Znacznie później, mama przyznała mi się, że posiadanych trzech sztuk biżuterii, wyniesionych z Warszawy, nie ujawniła, tylko ukryła, początkowo w kawałku słoniny, a kiedy ta zjełczała – w sucharach chleba. Natomiast zegarek ojca przez cały czas pobytu w obozie miał przy sobie brat Leszek. Nigdy nie dowiem się już, w jaki sposób go przechowywał.

Podczas tych wstępnych czynności reakcje ludzi były całkiem rozmaite. Niektórzy demonstrując protest, a może rozpacz, niszczyli banknoty. Pełna zgorzienia, śledząc porwane przez wiatr ich szczątki, z żalem przeliczałam je na cukierki. Lecz wnet, podobnie jak inni poczułam się i ja, gdy pośród walających się śmieci znalazłam nowiutkie, jeszcze w nasiąkniętym wazeliną opakowaniu, łożyska kulkowe. Był to przedmiot naszych dziecięcych marzeń, do budowy podwozia drabiniastego wózecka.

Długo ważyłam je w dłoniach, nim ze smutkiem odrzuciłam w przekonaniu, że w tej dziwnej rzeczywistości do niczego jednak już nie będą przydatne.

Tymczasem, przedłużające się formalności związane z przyjęciem transportu w obozie, wskutek ogromu przywiezionych ludzi sprawiły, że z nudów i ciekawości oboje z bratem zaczęliśmy dokładniej lustrować otoczenie. Ku naszemu zaskoczeniu, u szczytu jednego z baraków dostrzeżliśmy piętrzące się walizki, w których były same nożyczki. Dziwiłam się niepomiarnie, skąd taka ilość nożyczek mogła znajdować się w jednym miejscu? Lecz jeszcze bardziej byliśmy zdumieni, gdy w baraku, do którego udało się zajrzeć, pod sufit ułożona była bielizna. Wtedy, wyszła do nas kobieta i po polsku poprosiła abyśmy odeszli, co też posłusznie uczyniliśmy.

Centralna sauna w obozie koncentracyjnym Auschwitz-Birkenau

Dopiero po południu, a był już 13 sierpnia, wprowadzono nas do budynku nazywanego „Nową Sauną”. Było to miejsce, które w bardzo brutalny sposób odkryło oblicze obozu.

Miałam wtedy 10 lat, brat 12. Mamę ciągle uważałam za gwaranta mego bezpieczeństwa, więc byłam ufna i spokojna. Oni oboje mieli pełną świadomość, co do miejsca naszego pobytu, lecz ciągle ukrywali to przede mną. A ja nadal nie kojarzyłam zasłyszanego wcześniej opowiadania dorosłych o obozie z sytuacją, w której się znalazłam. Tym większy był wstrząs, doznany po przekroczeniu jej progu.

Zgromadzonemu w ogromnej sali tłumowi nakazano, bez względu na wiek i płeć, bo byli też chłopcy do 16 lat, rozebrać się do naga. Nie mogłam pogodzić się z koniecznością publicznego obnażenia. Nagość w mojej rodzinie nie była czymś zwyczajnym, lecz wstydliwym. Nigdy wcześniej nie widziałam rozebranej Matki, toteż jej zażenowanie było dla mnie bardzo bolesne. Moja mama, moja świętość, została tak bardzo upokorzona na oczach własnych dzieci! Staralam się nie spoglądać poniżej jej twarzy.

Ponadto w saunie doświadczyłam pierwszej wizualnej lekcji anatomii ludzkiej. Dostrzegłam niezwykłość pewnych cech fizjologicznych dojrzałej kobiety, oraz porównywałam piękno młodego, z brzydotą starego, zdeformowanego przebytą otyłością ciała. Nadmiar obwisłych fałd skórnych budził zdziwienie i zainteresowanie, ale przede wszystkim współczucie.

W miarę, gdy oswoiłam się z własną i cudzą nagością, kolejne upokorzenie wywoływali wmieszani w tę ciżbę umundurowani, w furazerkach na głowach SS- mani. Sprawiali wrażenie, jakby przechadzali się wśród stada zwierząt.

W sali, w której rozbieraliśmy się, następowało stopniowe przemieszczanie się tłumu. W konsekwencji dotarliśmy do dużego wewnętrznego okna w ścianie przeciwległej do wejścia, gdzie każda rodzina przekazywała do depozytu duży papierowy worek wypełniony odzieżą i wszystkim, co mieli z sobą dorośli. Ubrania dzieci luzem przekazano do dezynfekcji, jako że miały im służyć w obozie. Obuwie pozostawiono chyba każdemu, nam na pewno.

Do niewielkiego pomieszczenia, w którym odbywało się strzyżenie wszelkiego owłosienia, doprowadzono nas korytarzem – łącznikiem. Jego przeciwległa do okien ściana stanowiła komory do dezynsekcji odzieży. Ale dopiero w tej „fryzjerni” oczekiwał mnie kolejny dramat. Świadomość, że mogą obciąć mi warkocze, a głowę ogolić do gołej skóry była przerażająca. Uważałam, że tylko zawsze mogłoby to uzasadnić. Z moich obserwacji jednak wynikało, że włosy obcinano wszystkim, a tym bardziej te, które były ładne i dobrze utrzymane. Komando fryzjerek składało się z Żydówek. Strzygły przejeżdżając brutalnie maszynką od czoła, jakby wyladowując pasję niechęci do ofiary.

Nie wierząc już w żadną sprawiedliwość, w dodatku, której i moja mama nie mogła zapewnić, ani mnie obronić, nie zwracając uwagi na miejsce i sytuację, z rozpaczyny wpadłam w histerię. Mama błagała „Uspokój się, bo nas pozabijają”. Nic nie pomogło. Tupiałam, krzyczałam i zalewając się łzami, broniłam czynnie swoich warkoczy. Harmider ten spowodował, że oczekujący przed „fryzjernią” zaczęli dobijać się do zamkniętych drzwi myśląc, że nas mordują. Wtedy przybiegł SS-man i wprost nie do wiary, ale kierowany chyba ludzkim odruchem nie pozwolił warkoczy obciąć, za co ogromnie byłam mu wdzięczna.

Gdy opadły moje emocje i poczułam się względnie bezpieczna, dopiero wtedy usłuchałam argumentów mamy, która radziła skrócić włosy do wysokości ucha, co dawało szansę na utrzymanie ich w czystości. Ona wiedziała, że grożą mi wszy. Zgodziłam się. Jednak podczas obcinania pełna nieufności przezornie obydwoma dłońmi i ramionami osłaniałam całą głowę. Z powstałego zamieszania skorzystała również mama. W przeciwieństwie do innych kobiet uniknęła oszpeceń i upokorzenia, gdyż jej włosy także zostały tylko podcięte.

Przed opuszczeniem „fryzjerni” w przejściu pomiędzy framugą drzwi stała na stołku miednica napełniona lizolem, w którym należało jeszcze zanurzyć głowę. Zrobiłam to w pośpiechu i z rozmachem, więc zachlapałam sobie oczy, które potem bolesnie piekły.

Podobną rolę, przy dezynfekcji stóp pełnił basenik w podłodze przed wejściem do pomieszczenia, w którym zainstalowane były prysznice. Lała się z nich na przemian raz gorąca, raz zimna woda, a gęsta para zasnuwała wnętrze. Po tej niby kąpieli, która mogłaby być dla sponiewieranych warunkami podróży dobrodziejstwem, a okazała się zwyczajnym udręczeniem, przeszliśmy nadzy i mokrzy do „czystej” części sauny. Tam po długim oczekiwaniu, mama odebrała moje i brata zdezynfekowane ubrania, z tym, że na plecach naszych palt funkcyjna zaznaczyła czerwoną olejną farbą pionowe pasy – tzw. sztrajfę (streifen).

Kobietom nie przydzielono pasiaków. Zostały ubrane w zupełnie przypadkową cywilną garderobę. Były to nawet suknie balowe z dekoltami, falbanami, a nierzadko poplamione i podarte. Po prostu zwykłe szmaty! Powstał też bardzo uciążliwy problem z dobraniem wielkości, który to same musiały rozwiązać pomiędzy sobą. Mama wspominała, że dla mniej zaradnych osób było to nad wyraz trudne zadanie.

Wreszcie, przy końcu tych organizacyjnych działań, w ostatnim pomieszczeniu sauny po jej „czystej” stronie, gdzie znajdowały się też w wewnętrznej ścianie oszklone okienka, wydano nam dopiero pierwszy posiłek w obozie. Dostaliśmy chleb i żółty topiony gorzkawy, obrzydliwy trudny do przełknięcia ser.

Po odbyciu tak zwanego przyjęcia transportu w nowej saunie, po jej opuszczeniu, ludzie wypędzeni z Warszawy, wyglądali jak zbiorowisko zmaltretowanych przebiezańców. Tych, których znałam nie mogłam rozpoznać!

Kobięcy lager FKL-BIa

Zapanowała już noc, kiedy wyprowadzono nas z sauny, odartych ze złudzeń gdzie jesteśmy, ale jeszcze nieświadomych, co niebawem wszystkich czeka. Tymczasem na dworze pomimo sierpnia, zrobiło się bardzo zimno. W nieprzystosowanych do zaistniałych warunków jeszcze wilgotnych po dezynfekcji ubiorach, drżąc z zimna, długo przed nią staliśmy. Wtedy oburzona mama, za tak nieludzkie nas traktowanie, półgłosem życzyła SS-manom piekła.

Ruszyliśmy dopiero, kiedy zebrali się wszyscy, którzy mieli przemierzać tę, co poprzednio, ale w odwrotnym kierunku drogę. Po przekroczeniu rampy, kresem jej był kobięcy lager FKL – BIa.

Resztę nocy, grupie, w której byliśmy, przyszło spędzić pod gołym niebem w załomie budynku lokalnej sauny tegoż odcinka. Siedząc w kucki przytuleni do siebie, broniliśmy się przed przejmującym chłodem. Dwie następne noce pozwolono przybyłym, wśród nich mamie i bratu, przebywać już w obrębie tej sauny, której plagą okazały się szczury. Znacznie później mama wspominała, że krzyżącym z przerażenia kobietom, funkcyjne grożąc i używając ordynarnych wyzwisk nakazały spokój.

Mnie i jeszcze jedną dziewczynkę, na te dwa noclegi, zabrała nieznana mi więźniarka, do muranego bloku mieszkalnego. Spałyśmy na najwyższej koi, odgradzonej od innych niskimi murkami. Gdy obudziliśmy się blok był opustoszały, a ja nie mogłam doszukać się jednej z trzech sukienek, najbardziej ulubionej, granatowej, w białe kropki. Ta pierwsza doznana osobista strata była nie tylko zaskakująca, ale i przykra.

Rano, tuż za kuchnią, wzdłuż drutów, ustawiono stoły, do których miały zgłaszać się kobiety noszące nazwiska zaczynające się od wskazanej grupy liter. Lecz nim rozpoczęto spisywanie personaliów i nadawanie numerów, rozeszła się uspakajająca wieść, że dzieci do dziesiątego roku życia, na pewno nie zostaną odłączone od matek. Z tej przyczyny i nadziei, że tak się stanie, mama odmłodziła nas oboje, podając mój rok urodzenia 1935 zamiast 1934, a bratu 1934 zamiast 1932, ciesząc się, że zmieścił się w tym wymaganym limicie. Lecz zapobiegliwość ta była całkowicie zbyteczna, bo pogłoska okazała się nieprawdziwa. Dzieci i tak oddzielono!

Mój numer, mający do końca pobytu w obozie zastępować nazwisko, był – 85536, mamy – 85535, a brata ujętego na liście mężczyzn – 192714. Ponieważ naszego transportu nie tatuowano, otrzymaliśmy identyfikatory z numerami, które przypięte do lewej strony piersi ubrania, musiały być zawsze widoczne. Całe oznakowanie wyglądało następująco: na prostokacie białego płótna, po lewej jego stronie, na odwróconym do dołu czerwonym winkle (inaczej stożku), widniała czarna litera „P”, z prawej zaś znajdował się numer więźnia.

W czasie, gdy dokonywano spisów podchodziły do naszej grupy starsze stażem w obozie więźniarki. Jedne ofiarowały pomoc, inne spragnione były wolnościowych wieści. Wówczas sporadycznie dochodziło do niesympatycznych zachowań i antagonizmów. Kobiety z transportu warszawskiego nieświadomie, co wynikało z niewiedzy, wyrządzały im krzywdę mówiąc „Nie zbliżajcie się, jesteście kryminalistkami, my z wami nie chcemy mieć nic wspólnego!” Same, bowiem wierzyły, że ich pobyt w obozie to przypadek albo przedziwne nieporozumienie, gdyż są tylko grupą cywilnej ludności wypędzonej z Warszawy, podczas trwającego w niej zbrojnego powstania. Lecz to naiwne oburzenie

kwitowane było wtedy bez zrozumienia, z humorystycznym pocieszeniem, że i tak mamy dużo szczęścia, bo przywieziono nas już nie do „Piekła, lecz pensjonatu!”

W pewnej chwili nasza nadzieja załamała się. To, co było zgodną troską wszystkich i czego tak bardzo się obawiano, stało się niestety faktem. Rozłączono nas!

Kobiety i dzieci z naszego transportu podzielono na trzy części i rozlokowano w trzech różnych murowanych blokach, usytuowanych jeden za drugim w środkowej części lagru BIIa. Blok najbliższy drogi lagrowej, równoległej do rampy, zajęły osoby samotne młode i w podeszłym wieku. W następnym umieszczono matki oraz kobiety, które zgłosiły, że mają pod opieką dzieci. Trzeci z kolei blok numer 16a (obecnie 13) przeznaczono dla dzieci do 15 lat obojga płci i kobiet w zaawansowanej ciąży, które zajęły koje w prawym szczycie bloku, obok pomieszczenia z zamkniętymi drzwiami. Ostatnimi, równoległymi do drutów, były latryny i waschraumu.

Lecz dalsze bolesne rozłąki miały się dopiero rozpocząć. Po paru dniach wspólnego przebywania na bloku dzieci, wszystkich chłopców powyżej 10 lat, a wśród nich mego 12 – letniego brata Leszka, uformowano w grupę mającą ponoć iść do budynku waschraumu. Faktycznie w ten podstępny sposób odprowadzono ich do obozu męskiego, na odległą, pooddzielaną licznymi drutami męską kwarantannę odcinka BIIa. Wtedy, szalejącym z rozpacz matkom radzono spokój, grożąc „kominem”. Same trochę później, bo gdzieś chyba w drugiej dekadzie września zostały przeniesione na inny lager. Wówczas straszono nas, że poszły w transport, a wśród matek rozpuszczano perfidną plotkę, że dzieci już nie ma! Były to cyniczne zachowania, niektórych funkcyjnych, aby nas obopólnie bardziej udręczyć.

Samotne kobiety, poza staruszkami, w tym samym okresie ewakuowano w głąb Niemiec. Dopiero po wojnie stało się wiadome, że były to obozy koncentracyjne w Ravensbrück, Buchenwald, Bergen – Belsen.

Niebawem i ciężarne kobiety zostały zabrane i ulokowane gdzie indziej. Z ich pobytom na naszym bloku dowiedziałam się, co oznacza słowo „ciąża”, choć nadal nie pojmowałam całej fizjologii poczęcia i rodzenia się człowieka. Aż tu nagle, już na jesieni, zobaczyłam i zetknęłam się osobiście, po raz pierwszy w życiu, z małym noworodkiem. Stało się tak dlatego, że moje legowisko sąsiadowało z koją przy oknie, udostępnionej kobiecie, której macierzyństwo miało się zrealizować w tym nieprawdopodobnym miejscu i czasie. Byłam też świadkiem jej bezsilnego borykania się o zabezpieczenie dziecku minimalnych potrzeb do przeżycia. Na szmata, która służyła za pieluchę, wylał się jakiś płyn. Noc się zbliżała, a ona nie miała, w co dziecka zawinąć. Jej rozpacz spowodowała, że uparcie suszyłam ten gałgan przy stygnącym piecyku. To wydarzenie zbliżyło nas. Spotkałyśmy się jeszcze potem, zupełnie niespodziewanie w Berlinie przy odgruzowaniu, choć wyjechała innym transportem. Wtedy dowiedziałam się, że przed opuszczeniem obozu podczas kąpieli w saunie, najpierw rozgrzane, a potem nagle schłodzone dziecko, dostało zapalenia płuc i zmarło w drodze!

Po odejściu brata Leszka na męski lager, dla mnie i mamy miało być chwilową pociechą bliskie sąsiedztwo bloków, rozdzielonych niewielką przestrzenią pozbawioną chociażby jednej trawki, za to w dni słotne przemieniającą się w błotne grzęzawisko.

Miejsce to, przede wszystkim było moim placem apelowym, ale i „wybiegiem spacerowym”. Chodząc parami wkoło, z nudów wypatrywałam zgubionych guzików dziwiąc się, że każdego dnia znajdują następne. Szukałam też okrągłych kamyków, które na koi służyły do zręcznościowej gry w „ciupy”.

Pewnego słonecznego dnia nadarzyła się okazja, że mama przyszła na mój placzyk apelowy. Wtedy przycupnięta na jakiejś cegle, a ja usadowiona na jej kolanach wysłuchiwałam, że rodziny, z którą nie utrzymywaliśmy kontaktu, mogę szukać „tu a tu”, że jej panięńskie nazwisko Głogowska, urodziła się w Pruszkowie – Żbikowie oraz wiele trudnych do spamiętania na poczekaniu dat urodzenia: mamy, taty, brata, a ponadto ćwiczyliśmy mój „olbrzymiasty”, pięciocyfrowy numer jako nowy znak tożsamości.

I choć wiedziałam już gdzie jestem, bo słup ognia nad kominem krematoryjnym widniał, wprawdzie w głębi obozu z dala, ale bardzo wyraźnie, to w bezpośrednim z mamą kontakcie czułam się bezpieczna. Dlatego też niechętna byłam tej lawinie, zbytecznej w moim odczuciu, edukacji na wypadek gdyby „co”. Ale tego „co”, mama nigdy nie kończyła. Nie ujawniała także, co w głębi ducha przeżywała i jakie fale rozpacz nią targały. A ja ciągle nie chciałam pojąć, że tak zawsze być nie musi lub niezależnie od mamy być nie może, pomimo, że ona w tej chwili jest w zasięgu ręki tuż, tuż. Po prostu być z mamą i przy niej było mi dobrze i nic innego w tamtej chwili mnie nie obchodziło.

Gdzieś na przełomie września zabroniono nam z bloku wychodzić, a matkom przychodzić do nas. Zakaz tej blockspery mama złamała, przybiegając ukradkiem pod moje okno. Później przyznała się, że zastosowano wobec niej represję. Musiała w swoim bloku klęczeć na betonie z rękoma uniesionymi w górę obciążonymi ceglami. Wiadomość o karze i upokorzeniu mamy, nie mogła pomieścić się w mej głowie. Wielu rzeczy z życia obozowego nie potrafiłam sobie wytłumaczyć, gdyż burzyły one całkowicie moje wykrystalizowane poglądy na ludzi i ich postawy.

Tak samo niesłychanym było wydarzenie, zaraz po przybyciu do obozu, które spotkało mamę. SS-manka na moich oczach wymierzyła mamie policzek! Została uderzona tylko dlatego, że zbyt ostrożnie wchodziła do baseniku z odkażającym płynem, chcąc uniknąć zamoczenia wnętrza butów.

Brutalność w ogóle, a tym bardziej skierowana wobec mojej mamy, była czymś niewybaczalnym! Gdyby to było możliwe, w odwecie i obronie, rzuciłabym się na tę SS-mankę pomimo, że przy niej warował pies, jej obrońca!

Moje rozstanie z mamą, którego zawsze bałam się przeogromnie, nastąpiło nagle. Zachorowała na tyfus, więc nie przebywała już w bloku obok, lecz w szpitalu, tak zwanym rewirze lagru B1a, gdzie jak później wspominała, ochrzciła z wody umierającą Żydówkę.

Dzięki przypadkowemu spotkaniu koleżanki z byłej pracy, która dużo wcześniej trafiła do obozu, jej pomocy i opiece, mama łatwiej znosiła tę ciężką chorobę. Życzliwa interwencja tej pani, której imienia i nazwiska nie znam, wkrótce wywiezionej spowodowała, że mnie i pewnej dziewczynce pozwolono na widzenie się z matkami na rewirze. Jeszcze dziś z tym faktem łączę bardzo denerwujące wspomnienie, do którego niechętnie powracam pamięcią.

Na odległy rewir poszliśmy pod opieką sztabowej, która miała przy okazji wstąpić także do innego bloku. Nam poleciła w określonym miejscu zaczekać. I tu powstało nieporozumienie. Czekaliśmy nie tam, gdzie według niej byliśmy umówione. W efekcie zagubiliśmy się pozostając same, na dworze długo w nocy pod rewirowym barakiem. Na samą myśl, że nie zdążymy na poranny apel, dostałam potężnego rozstroju żołądka. Dzięki temu, że Basia Bańkowska z tej samej koi, powiadomiła o mojej nieobecności, sztabowa natychmiast wróciła na rewir i odszukała nas nawoływaniem. Była zresztą nie mniej przejęta grozą sytuacji, niż my obie.

Przeciągająca się nieobecność mamy i brak wiadomości o niej wywołało u mnie poczucie osamotnienia. Ponadto uległam psychozie, że podczas selekcji mogę ją stracić na zawsze! To przeświadczenie spowodowało, że przestały mnie interesować wydarzenia mające miejsce obok, jak i bezpośrednio mnie dotyczące. Zaczęło być mi wszystko jedno, dokąd nas prowadzą i w jakim celu. Po prostu uległam apatii i całkowitemu zobojętnieniu na realia, które mnie otaczały.

Zwiastunem chwilowej nadziei, a tym samym ożywienia, były tylko dwa zaledwie grypsy od mamy, pisane bardzo niewyraźnie na bandażu, podobnym do papieru higienicznego. Z trudem odczytałam: „Kochana Elżuniu!” Dalej było mało czytelne, ale wystarczyło! Nikt tak do mnie się nie zwracał. Wiedziałam, że pisze mama, że jest w obozie, a co najważniejsze żyje!

Od tej chwili, wszystko, co tak potwornie realne łatwiejsze było w przetrwaniu. Bardzo swędzący świerz, który szerzył się w zastraszająco, bo od przybycia do obozu nikt się nie mył, zaropiałe oczy, długie apele nierzadko w deszczu, a potem i mrozie, głód, zimno. pluskwy, szczury, tęsknota, samotność oraz wszelkiego rodzaju lęki, od których nie byłam wolna!

Życie w bloku dziecięcym 16a – lager FKL-B1a

Blok „dzieci”, w którym oddzielonej od mamy i brata przyszło mi żyć, był murowany. Zresztą wszystkie inne widoczne dookoła, oprócz rewiru po przeciwnej stronie ulicy lagrowej, były takie same. Wnętrze jego podzielone na cztery sztuby, całkowicie wypełniały ścianki trójpoziomowych koi, zbudowanych z cegieł tylko pobielanych wapnem. Najniżej położone legowiska za podłozę miały wprost ceglana podłogę. Lecz podstawą dwu wyższych kondygnacji były już deski i tylko te zasiedlono.

Na każdej koi o powierzchni około 4,0 m², leżały szczątki siennika wypełnionego chyba mialką siewką i koc, który pełnił podwójną funkcję. W dzień wyścielał jej powierzchnię, a nocą okrywał wszystkich. Koja bowiem służyła jako „mieszkanie” pięciorgu lub sześciorgu dzieciom, będąc jednocześnie miejscem spania, jedzenia „zabawy” i stałego przebywania. W późniejszym okresie, gdy wyczerpała się nadzieja, a wkrađło zobojętnienie, stanowiła dla mnie coś więcej. Była symbolem „bezpieczeństwa” i „stabilizacji”, jakim w normalnym dawnym życiu, podczas dziecięcego buntu czy chwilowego rozgoryczenia, było mi własne łóżko.

Zawsze zamieszkiwałam koje w sztubie tylnej, przeciwnie do wejścia i nawet parę razy je zmieniałam w miarę pustoszenia bloku. Z pobytom na każdej z nich kojarzę jakieś inne wydarzenie. W ten sposób mogę ustalić przybliżony czas i kolejność, w jakim one powstały. Niezmiennie przebywałyśmy we trzy, ale tylko jedną z tych dziewczynek pamiętam. Była to kuzynka Basia Bańkowska.

W pierwszym okresie koszmarem bloku były pluskwy. Wyłaziły z każdej szczeliny. Spadały na głowy z supremowej podsufitki. W nocy od ukąszeń nie było można spać. Toteż za dnia polowałam na wyłaniające się z nie otynkowanych ścian koi i zabijałam obcasem buta.

Wreszcie wygazowano blok cyklonem „B”. Na te dwa dni wszystkie dzieci przeniesiono do sąsiedniego baraku matek. Nareszcie byłam blisko z mamą, bo na jednej koi i choć ogromnie stłoczone, ale razem!

Efekt dezynsekcji był zaskakujący. Po powrocie do bloku, na każdej powierzchni leżały warstwy insektów. Wtedy dopiero nastąpił, upragniony pod tym względem spokój.

Z myciem były ogromne kłopoty. W końcu dano sobie spokój i nie myliśmy się wcale!

Nie domyślałam się wówczas, że za stale zamkniętymi drzwiami w prawym szczycie bloku po lewej jego stronie, znajdowało się pomieszczenie umywalni. Teraz dopiero wiem, że chociaż wyposażono je w kamionkowe rynny, nie mogło funkcjonować, gdyż nigdy nie zostało podłączone do instalacji wodno – kanalizacyjnej.

Toteż w początkowym okresie, dwa lub może trzy razy, próbowano doprowadzić wszystkie dzieci do niezbyt odległego budynku waschraumu. W jego wnętrzu funkcjonowały długie sprzężone z sobą dwa koryta. Ponad nimi biegła rura, na której w odstępach rozmieszczono krany, a dostęp do nich umożliwiała dojście z obu przeciwnych stron.

Ale umycie się, mimo najszczerszych chęci stawało się niemożliwe tak z powodu niebywałego tłoku przy każdym zaworze, jak i krótkiego czasu dopływu rdzawej, śmierzdzącej, zimnej wody. Jeśli udało mi się zamoczyć ręce, to już na pewno nie zdążyłam ich namydlić „glinianym” zupełnie nie pieniącym się mydłem, a następnie umyć. Wobec tych przeciwności, których doświadczała większość, wyprawy do waschraumu zaniechano, a choroba skóry świerzb (kratze) zaczął szerzyć się zastraszająco.

W późniejszym czasie chyba aż dwukrotnie zorganizowano nam „kąpiel” w lokalnej saunie odcinka BIIa. Tam pod prysznicami z gorącą wodą, bez użycia mydła i w wielkim pośpiechu, nareszcie mogliśmy umyć, a właściwie opłukać całe ciało. Ze względu na określoną przepustowość sauny, dzieci wchodziły do niej grupami. Reszta zawsze pozostawała na dworze. W lepszej, zatem sytuacji znajdowali się ci, którym oczekiwanie przypadło przed odbyciem kąpieli, a nie po niej. Z tej drugiej grupy, wiele osób wskutek rozgrzania i nawilgocenia ciała, ulegało przeziębieniu.

Zbiorowe korzystanie z ubikacji, w atmosferze ogromnego pośpiechu, tłoku i braku intymności, też było przykrym przeżyciem.

Podłużny, murowany budynek latryny stał opodal waschraumu. Wzdłuż wnętrza biegł kanał z nieczystościami, do którego dojście znajdowało się z obu stron. Na dość szerokiej powierzchni jego obudowy powycinano liczne, przeciwległe, okrągłe otwory. Były na tyle duże, że w obawie, aby nie wpaść przez nie do środka, ostrożnie na nich siadałam. Sprawdzenie z bloku jednocześnie wszystkich dzieci powodowało, że do każdego ubikacyjnego „sedesu” ustawiała się gromada oczekujących. Ale problem powstawał dopiero, gdy ktoś chorował na durchfall (biegunka głodowa) i lało się z niego bez przerwy. Taki to nieszczęśnik najchętniej nie wstawałby z raz zajętego miejsca. Wtedy to tworzyły się zatory, a czas pobytu w ustępie znacznie przedłużał.

Toteż niebawem wypraw do latryny, tak zbiorowych, jak i indywidualnych, – bo bez dozoru dzieciom nie wolno było chodzić po łagrze – po prostu zaniechano. Sytuację tę rozwiązało postawienie wewnątrz bloku dwu wysokich „kibli” na fekalia. Od tego czasu za drzwiami pomieszczenia przylegającego do nieczynnej umywalni, stała już zawsze kolejka dzieci.

„Kible” z nieczystościami wynosiły do latryny starsze koleżanki, za co podobno dostawały „culagę”, czyli dodatkowy kawałek chleba. Pomimo przykrych funkcji, chętnych było sporo.

„Kiblamy” były pojemniki w kształcie cylindra z grubszej niż kubek szarej ocynkowanej blachy, o wysokości około 60 centymetrów i średnicy 30-35 centymetrów, z dwoma płaskimi uchwytami przy górnym brzegu.

Inne podstawowe zabiegi higieniczne także były niemożliwe do zrealizowania. Otóż zupełnie nie przypominam sobie, abym podczas pobytu w obozie używała jakiegokolwiek papieru higienicznego, miała grzebień, myła zęby i kubek po zupie, zmieniała bieliznę lub przebierała się do snu!

Środek bloku w kształcie czworoboku, usytuowany, na wprost frontowych drzwi, stanowił wolną przestrzeń. Powiedzmy, że był to „hol”, którego przeciwległe ściany później zdołały malowidła o tematyce dziecięcej. Powstawania jednego z nich byłam świadkiem. Położenie koi, na której mieszkałam umożliwiała mi obserwację prawej ściany od strony wejścia.

Pewnego dnia przyszedł do bloku niezbyt wysoki, szczupły mężczyzna w pasiaku i takiej samej płaskiej czapce. Było to zdarzenie niezwykle, bo mężczyźni, poza SS-manami, chyba nigdy bloku nie odwiedzali, a on w dodatku zaczął malować. Twarzy jego, ani identyfikatora nie widziałam, gdyż obserwowałam go odwróconego tyłem. Patrząc na ruchy ręki starałam się odgadnąć, jaki obraz ma powstać. Narysował drzewa i budynek szkolny, do którego zmierzał chłopiec w bereciku z „antenką” i tornistrem na plecach. Zapamiętałam, że z tornistra zwisała na sznurku obła gąbka. Było to dość dziwne, gdyż w mojej szkole gąbki zawsze leżały przy tablicy i nikt nie nosił ich z sobą. Obraz ten utrwalił mi się dobrze w pamięci, bo też i często z koi na niego spoglądałam. Wiedziałam także, że i przeciwległą ścianę zdołał również prosty w formie rysunek, tylko nie pamiętałam, że przedstawia on troje dzieci z zabawkami.

Kto inspirował wykonanie tych malowideł tego nie wiem, ale z całą pewnością powstały podczas mojego pobytu w bloku dziecięcym 16a, późną jesienią 1944 roku.

W dniu moich urodzin 19 września zdobyłam się na odwagę i oświadczyłam sztabowej, że skończyłam 10 lat i proszę o przydział porcji dla starszych dzieci! Dotychczas, w młodszej grupie, otrzymywałam cienki plasterek białego chleba oraz mały kawałek masła, wielkości mniej więcej 2x2 centymetry o grubości 0,5 centymetra. Uważałam, że jestem ogromnie pokrzywdzona. Inne dzieci dostawały wprawdzie chleb ciemny z formy, ale pajdka była przynajmniej dwa razy większa i z dodatkiem margaryny, której kawałek też był podwójny.

Taki przydział musiał starczyć na śniadanie i kolację, a pół litra nijakiej zupy o bliżej nieokreślonym składzie stanowiło obiad, choć nierzadko, duży liść jarmużu, gdy wpadł do kubka pomniejszyła jego zawartość. „Kawy” czy ziółek było pod dostatkiem.

Nic więc dziwnego, że wyniszczająco skąpe jedzenie, było częstym tematem rozmów, marzeń oraz rozpamiętywaniem spostrzeżeń z nim związanych. Bo nie tylko zachwycała mnie smakowita jedna, jedyna kluska – pyza, podarowana przez sztabową, a zapamiętana z wdzięcznością do dziś, ale dziwiło istnienie w obozie kartofli i możliwość ich zdobycia. Próżne też było moje rozważanie nad jednorazowym przydziałem plastra kielbasy, z nadzieją, że się powtórzy. Ale sprawiedliwy jej rozdział pozostał już na zawsze niezapomniany, bo też i był bardzo oryginalny. Otóż najpierw wyprowadzono z bloku wszystkie dzieci, które następnie wpuszczano do niego pojedynczo i dopiero w przejściu wręczano ten pożądany przysmak. Lecz osłupieniu ze zdziwienia uległam dopiero wówczas, gdy w przeddzień opuszczenia obozu, w styczniu 1945 roku, dostałam od mamy Basi Bańkowskiej miskę pysznej zupy mlecznej z kluskami zwanej „melką”! Nie mogłam wtedy uwierzyć, że tak dobre pożywienie w ogóle tutaj mogło się znajdować.

Początkowo blok był dziećmi przepełniony, lecz w miarę upływu czasu stale dokonywała się ich nieuchwytna rotacja i pozostawało nas coraz mniej. Ludzi i ich twarze nie pamiętam. Byli wszyscy bezimienni, przez to blok jakby „pełen”, ale jednocześnie „pusty”

Rządziła w nim blokowa Roma Ciesielska. Osoba niewysoka, korpulentna o siwawych gładko zaczesanych włosach, ubrana w pasiak, a na nim przypiętym numerem więziarskim z czerwonym winklem i czarną literą „P”. Kobieta ta nie tylko dla mnie była postrachem. Lecz z represjami z jej strony się nie spotkałam, bo od dawna w życiu obozowym, kierowałam się raczej instynktem samozachowawczym. Doskonale wiedziałam, że należy zachować spokój, dyscyplinę oraz dbać o schludny wygląd własny, zamieszkiwanej koi, a także bloku. Te absurdalne, w tych warunkach wymagania, musiały być spełnione. Przepię, buty myłam w kałuży lub „ziółkach”. Ceglaną podłogę, aby nabrała „koloru”, zmywano wodą z dodatkiem startej na miazki proszek cegły. Natomiast zabrudzenia drewnianych obramowań koi, zeskrobywało się kawałkiem szkła.

Starsze dziewczęta myły blok i to przed samym apelem, na który przychodził SS-man. Wtedy szczególnie musiało być w nim czysto, tym bardziej, że w okresie sloty zaniesiony bywał błotem.

Od pewnego czasu, koje przy oknach, celowo nie zasiedlano. Jednocześnie, w trosce o ich schludny wygląd, pilnowano, aby zawsze były równo zasłane kocami, a nic, co mogłoby spaść przez szpary wyżej położonych, nie miało prawa ich zaśmiecać. Dlaczego one musiały być puste, tego na pewno nie wiem, tylko się domyślam. Odkąd nastały tak zwane blocksperry, nie tylko istniał zakaz opuszczania bloku, ale także podchodzenia do okien. Wtedy słychać było przemarsz dużej ilości ludzi, nierzadko krzyki i szczekanie psów. Działo się tak w okresie intensywnej ewakuacji więźniów, mówiono, że do innych obozów w głąb Niemiec lub krematorium.

Między apelami, po wykonaniu przydzielonej pracy, był czas wolny. W początkowym okresie, podczas odbywania kwarantanny, przebywaliśmy na zewnątrz bloku, w obrębie placu apelowego, a w dni slotne siedząc na kojach dużo śpiewaliśmy. Później częstą i jedyną zabawą na mojej koi, była zręcznościowa gra w „ciupy”, do której służyły znajdowane okrągłe nieduże kamyki.

Prawdziwą udręką i ogromną emocją było dla mnie rozdawanie przez blokową, czystych identyfikatorów z numerami. Działo się to sporadycznie po zakończeniu porannego apelu, gdy uformowani byliśmy jeszcze w piątkowym szyku. Wsluchując się w wykrzykiwane numery, byłam owładnięta przemożnym strachem, że przeoczę własny. Stałam, więc z napiętą uwagą jak przysłowiowa „struna”. Gdyby ktoś mnie wtedy trącił, to bym chyba „zadźwięczała”!

Inną moją troską i prawdziwym kłopotem, było posiadanie dwóch palt. Brat zostawił swoje odchodząc niespodziewanie na męski lager. Mając świadomość, że posiadanie podwójnej garderoby jest regulaminowym wykroczeniem, żyłam w ciągłym niepokoju. Przy każdym zbiorowym wyjściu z bloku, zapowiadana kontrola koi, była równoznaczna z możliwością odkrycia mego „przestępstwa”. Na samą myśl, drętwiałam z przerażenia, więc jedno z palt przezornie zostawiałam na najwyższej niezamieszkałej koi w nadziei, że nie zginie. Ale pewnego dnia przepadło! Wtedy odsapnęłam z ogromną ulgą. Nareszcie przestałam się bać, że zostanę ukarana. Ale wnet poczułam się bardzo winna wobec mamy, że nie potrafiłam upilnować mego paltka, za które czułam się odpowiedzialna. Poza tym straciłam rzecz, która służyła mi za dodatkowe okrycie, podczas dokuczliwie zimnych nocy.

Wydawałoby się, że to takie właściwie NIC, epizod bez znaczenia, ale jednak bardzo ciężko było mi z tą nie rozgrzeszoną winą nadal się borykać!

Tymczasem mówiono, że konspiracyjny Ruch Oporu czuwał nad blokiem uwięzionych dzieci i nimi samymi. Takie wieści mimochodem rozchodziły się szybko i docierały wszędzie, chociaż nie zawsze były zrozumiałe. W każdym razie ktoś musiał podjąć działanie, gdyż z nastaniem jesiennych chłódów uzupełniono dzieciom garderobę. Ja przypadkowo miałam palto i spodnie brata zabrane z domu, ale większość z nas przybyła do obozu w letnich ubraniach i właśnie ci, tak jak Basia Bańkowska z mojej koi, zostali wyposażeni w swetry, płaszcze, czapki, pończochy i buty, które przeważnie były nie od pary. Kiedy dowiedziałam się, że w pomieszczeniu, w którym stały kible, złożono stos bucików, ucieszyłam się bardzo, gdyż moje sandały już się rozpadały. Długo cierpliwie grzebałam i wybierałam w tej stercie. I choć nie udało mi się dobrać stanowiących parę, ale w noszeniu okazały się wygodne. Natomiast na moment nie przyszło mi wówczas do głowy, że ktoś do niedawna w nich chodził, bo przecież nie były nowe!

Następnym dobrodziejstwem tej „niewidzialnej ręki” było to, że poranne i wieczorne apele przeniesiono do bloku. Dla sprawniejszego liczenia, siedzieliśmy na kojach po pięcioro, ze spuszczoneymi nogami.

Jednak nie ominęły nas dwa pamiętne apele, które były istnym koszmarem. Jeden miał miejsce na FKL-u, w deszczu i grząskim błocie, z którego trudno było wyciągnąć nogi, a potem wysuszyć przemoczone ubranie. Drugi odbył się na lagrze cygańskim BIIe, gdy w śniegu podczas siarczystego mrozu należało stać bez ruchu. Ten musiał być bardzo długi i uciążliwy, skoro pod jego koniec, zezwolono dzieciom krążyć parami dookoła własnego placu pomiędzy blokami.

Takie apele miały miejsce zwykle wtedy, gdy ktoś uciekł, lub celowo się schował, albo zasłabł i gdzieś się zawieruszył. Wówczas wszyscy więźniowie z całego obozu stali wiele godzin bez względu na aurę i porę roku, dopóki przyczyna nieobecności brakującej osoby nie została wyjaśniona.

Do dzisiaj w konsekwencji tamtych przeżyć, przedłużające się oczekiwanie na środek komunikacji podczas niesprzyjającej pogody, załamuje mnie psychicznie, bo wnet tracę nadzieję, że pojazd kiedykolwiek nadjedzie

Chyba w połowie września 1944 roku przebywając na FKL-u, z wielką radością i jeszcze większą nadzieją na wolność, przeżyliśmy wszyscy w bloku niespodziewane bombardowanie obozu. Ze strachu, w pierwszym odruchu, zupełnie bez sensu, co natychmiast sobie uświadomiłam, weszłam pod koję. I choć skutki nalożyły nic, a nic naszej wolności nie przybliżyły, to wcale nie przeszkadzało, że zaczęto śpiewać „Oświećmi rozbili, więźniów wypuścili, na wolność, na wolność, na wolność już nam czas”.

Lager cygański BIIe

Odcinek Ia FKL-u (obozu kobiecego) stopniowo pustoszał. Mówiono, że dzieci z bloku 16a, prawie ostatnie przenoszone są na lager cygański B IIe, który miał wśród więźniów złą sławę, i niczego dobrego nie wróżył. Wiadomo było, że na początku sierpnia 1944 roku wymordowano wszystkie przebywające tam rodziny Cyganów.

Była połowa listopada 1944 roku. Przeprowadzce z FKL-u towarzyszył nieustannie siąpiący deszczyk i ołowiane chmury. Przekroczyliśmy rampę i ponownie pomiędzy odcinkami BIIc i BIIId, tą samą bardzo długą drogą, którą wcześniej już dwukrotnie przemierzaliśmy, dobrnęliśmy do bramy lagru cygańskiego BIIe znajdującej się z przeciwnej niż rampa strony.

Bardzo zdżożone i zmoknięte dzieci wprowadzono na chwilę do baraku matek. Weszłam bez entuzjazmu, jako że nie spodziewałam się zastać w nim mojej mamy. Wiedziałam, że nadal jest na rewirze, który także miano tu przenieść.

Przysiadłam na podłużnym piecu biegnącym wzdłuż baraku i zaczęłam obserwować siedzącą na najwyższej pod sufitem koi, siwiuteńką panią. Była to pani Aleksandra Nowik, babcia Krysi Zawadzkiej (obecnie Politowskiej). Płacząc coś szyła, a siedząca przy niej kobieta uspakajała ją mówiąc „Niech pani nie płacze. Dzieci już są. Już się odnalazły”. Od razu zaczęłam się zastanawiać, gdzie miałyśmy się zgubić i skąd ta pani ma igłę!

Babcię Krysi widziałam później jeszcze raz, kiedy za przepierzeniem w tylnej części naszego baraku wrzucono sporo butów z cholewami. Zapragnęłam takie mieć i poszłam, aby coś wybrać. Właśnie w tym mrocznym miejscu zobaczyłam babcię Krysi, która trzymała pod pachą but prawy, z którym parę tworzył but lewy, znaleziony wcześniej przeze mnie. Bojąc się, że mi go odbierze, niewiele myśląc wycofałam się na koję, aby tam tę panią przeczekać. Wróciłam, kiedy zniechęcona bezskutecznym poszukiwaniem porzuciła but, na który ja czekałam.

Później dziwiłam się, skąd we mnie wzięło się tyle sprytu i przebiegłości, o które siebie wcześniej nie podejrzewałam. Ale też i nigdy, nie musiałam walczyć o byt!

Wszystkie baraki na tym odcinku ustawione były szczytami do drutów i ulicy lagrowej. Ten, w którym zamieszkaliśmy różnił się od pozostałych na FKL-u konstrukcją i wyposażeniem wnętrza. Były to stajnie końskie przystosowane do zamieszkania przez więźniów. Zarówno barak, jak i trzypięt-

rowe koje odsunięte od ścian wąskim przejściem, były drewniane. Budynek nie posiadał okien, tylko wąskie świetliki wysoko pod dachem. Przez jego środek biegł murowany kanał dymny o szerokości i wysokości chyba około 80 centymetrów. Na obu jego przeciwległych wylotach znajdowały się paleniska. Od ulicy lagrowej było wejście i sień, a po jej lewej stronie mieściło się pomieszczenie blokowej. Przeciwległy szczyt za przepierzeniem z desek, stanowił zaplecze gdzie znajdowała się ponura nieczynna umywalnia, w której stały dwa kible, oraz było wyjście na stronę drutów.

W tej to tylnej jego części po prawej stronie w samym rogu zgromadzone były koje tak zwanych „krecowatych”, gdzie i ja przez jakiś czas przebywałam po zarażeniu się świerzem (kratze). Tę bardzo swędzącą dolegliwość, rozszerzającą się na skutek braku higieny, usiłowano opanować odizolowaniem zakażonych dzieci, a leczyć smarując chore miejsca jakąś maścią.

Gdy wysypka zniknęła, a świąd ustał wydawało się, że choroba już minęła. Wtedy dla poświadczenia tego faktu, polecono mnie i Basi pójść do jakiegoś pomieszczenia, którego lokalizacji ani funkcji nie jestem w stanie określić. Niemniej doskonale pamiętam, że w tym przestronnym, wysokim wnętrzu stał tylko stół i były jakieś dwie funkcyjne kobiety. Natomiast na tle białego pomalowanego przepierzenia bardzo wyraźnie eksponował się żywy ludzki „szkielet” obciążony pergaminową skórą. Dopóki postać stała nieruchomo nie przejawiałam obawy, lecz zaciekawienie. Gorzej było, gdy ta kobieta zjawą poruszyła się. Wówczas z wielkim krzykiem i w panicznym popłochu uciekłam.

Plagą tego baraku były duże szczury. Pomimo zapalonego światła biegały nocą po najniższych położonych kojach, wywołując przerażenie wśród dzieci. Sama tego doświadczyłam. Obudziłam się, gdy zwierzątko zatrzymało się na moich nogach okrytych paltem i kocem. Byłam wprost sparaliżowana ze strachu i obrzydzenia. Zdołałam poruszyć się dopiero, gdy doznałam mi do ramienia. Wtedy spłoszony umknął.

Lager cygański BIIe, sąsiedował przez druty z męskim odcinkiem BIIId, na którym przebywali też chłopcy z warszawskiego transportu. Wśród nich był mój brat Leszek. Zobaczyliśmy się z daleka, po trzech miesiącach rozłąki. Wyglądał nędznie. Pomimo listopadowej pory roku, był w kusej, przymałał na niego marynarczce, bez skarpet i czapki, co w moim pojęciu świadczyło o opuszczeniu i niezaradności życiowej, a pomocy żadnej i znikąd! Tym bardziej zdziwiłam się, kiedy w przerwie odłączenia prądu podał mi przez druty furazerkę soli. Było to cenne dobro, za które mama w drodze wymiany uzyskała cebulę i coś tam jeszcze.

Otóż chłopcy wiedli zupełnie inny tryb życia, gdyż zatrudnienie przy rolwadze, umożliwiało im poruszanie się po całym obozie. Była to jednak bardzo ciężka praca. Pomimo, że załadowany, olbrzymi wóz ważył dużo, oni w kilkunastu, musieli go pchać i ciągnąć nierzadko po błocie. Za to mieli możliwość „organizowania” różnych przydatnych, a ogólnie niedostępnych przedmiotów. Kiedyś wrzucili do naszego baraku dużo ładnych scyzoryków, z których jeden zdołałam pochwytać. Innym razem dostarczyli buty z cholewami. Natomiast piłkę futbolową, która niefortunnie przeleciała ponad drutami na nasz lager, domagali się aby zwrócić.

Największe jednak zagrożenie, o czym wszyscy doskonale wiedzieli, stanowiły druty podłączone do prądu. Jeden z chłopców o nazwisku Babańczyk, dotknął ich nieopatrznie i został porażony. Koledzy, świadkowie wydarzenia z trudem zdołali go odciągnąć i uratować, ale szpetna blizna na twarzy została na zawsze. Natomiast wieść o tym wypadku lotem błyskawicy rozeszła się po obu odcinkach lagru.

Tak samo, do niebezpiecznych należało wkraczanie na wyżwirowany pas przed drutami, czego nagminnie nie przestrzegaliśmy podczas kontaktów z braćmi. Wtedy, trzeba było mieć się na baczności, gdyż nudzący się w budkach strażniczych żołnierze (postowie), namierzając nas strzelali do celu. Pamiętam taki wypadek, gdy zranieniu uległa mała dziewczynka w granatowym płaszczyku.

Z drugiej strony naszego odcinka cygańskiego znajdował się męski rewir BIIIf, za którym widoczne były baraki „Kanady”, a opodal nich krematoria. Jedno z nich zostało wysadzone w powietrze jeszcze za naszej bytności w obozie. Po przeciwnej stronie ulicy lagrowej, nieco na skos od naszego, mieścił się barak matek, natomiast bliżej zlokalizowano rewir, na którym nadal przebywała mama.

Pod koniec grudnia, nastąpiło jakby rozluźnienie dyscypliny. Postanowiłam to wykorzystać i na własną rękę nikogo nie prosząc o zgodę, odwiedzić na rewirze mamę, której tak długo nie widziałam. Oprócz tęsknoty, powodów, którymi się kierowałam było wiele.

Bolał mnie tego dnia brzuch, miałam obtartą piętę i brzemieniem nie rozgrzeszonej winy, nadal ciążyła mi kradzież mego paltka. Wybrałam się, gdy było już ciemno, ale dość czasu do wieczornego apelu. Rewir był chyba przedostatnim w ulicy lagrowej, a za nim tylko trupiarnia.

Wiedziałam, że mogę wejść tylko drzwiami od słabo oświetlonych drutów. Szłam, zatem wzdłuż baraku. Blask światła pozostawał za moimi plecami. Wtedy ku memu przerażeniu dostrzegłam, że gdzieś przy jego końcu pod ścianą, leżą jedne na drugich sterty nagich trupów, a w nich coś się rusza. Zawracałam trzykrotnie nim przezwytrzymałam strach i dotarłam do mamy. W końcu mogłyśmy przytulić się do siebie, bo mama była już w trakcie rekonwalescencji.

Lecz radość spotkania stopniowo odpływała, gaszona natrętnymi myślami.

Co stanie się, gdy, odkryją, że mnie nie ma w baraku?

Jak wyjdę sama w te ciemności i przebrnę obok martwych ciał, w których buszują szczury?
Jak zdążę przejść niezauważona przez cały długi lager, gdy nagle ogłoszą blocksperrę?
Boże! Gdzie podziało się to bezpieczeństwo, którego ostoją zawsze była mi mama!

I wtedy, pomimo, że nadal siedziałam na jej kolanach, poczułam się nagle bardzo zagrożona i przegromnie samotna, a miałam zaledwie dziesięć lat!

Zdarzało się jednak niekiedy, że to beznadziejne tkwienie w tym marazmie paskudnego baraku pełnego „osieroconych” i obcych mi dzieci oraz pokrzykującej blokowej, rozpraszały bardzo rzadkie, ale wychwytywane natychmiast i utrwalane w pamięci jaśniejsze promyki, które składały się na obrazki.

Otóż, dziewczynki mówiły, że podczas dobrej, przejrzystej pogody, można obserwować zarysy gór. Nad morzem już byłam, gór jeszcze nie znałam, więc raptem do nich zatęskniłam. I choć bez skutku, ale bardzo wyteżałam wzrok, aby je koniecznie zobaczyć.

Nie wiedziałam także, że w obrębie lagru cygańskiego przebywały karły. Spotkanie z nimi było nad wyraz zaskakujące i bardzo sympatyczne. Dwie pary, siedząc na niskich stołeczkach, rozmawiały poprzez druty, gdyż mężczyźni przebywali na odcinku BIIf. Z pewnością nie wypadało się gapić, ale widok tej sceny był tak niecodzienny, że trudno było się powstrzymać.

Później spotkałam jedną z tych kobiet pod obozową kuchnią, gdy środkiem oblodzonej ulicy lagrowej, toczyła sporą brukiew. Znowu obraz był przezabawny, gdy zaokrągloną rączką laseczki, popychała i nadawała jej właściwy kierunek. Stałam jak urzeczona przyglądając się temu widowisku, choć pani ta wyglądała raczej na rozsierzdzoną lub przestraszoną, że zdobycz mogę jej odebrać. Wykrzykiwała coś do mnie, czego nie rozumiałam, lecz z miny było widać, że nie były to wyrazy sympatii.

Inne zapamiętane wydarzenie, to spór toczący się między dwiema dziewczynami, których nazwisk do dziś nie znam. Przy palenisku pieca w głębi baraku jedna z nich, mająca pod opieką małego chłopca, gotowała dla niego jednego kartofelka w półlitrowym garnuszku, postawionym bezpośrednio na ruszcie wewnątrz paleniska. W pewnym momencie podeszła druga, starsza i bezceremonialnie odstawiła jej garnek wstawiając swój. Wtedy, poszkodowana zaprotestowała, rzucając się na agresorkę z krzykiem, „Co robisz, kartofel mi zdębieje”! Analizując całe wydarzenie, dziwiłam się skąd ona go miała, poza tym, – co znaczy, że on „zdębieje”. Ale przede wszystkim pełne uznanie żywiłam dla jej determinacji wykazanej w obronie swych słusznych praw! Zgorszona i to bardzo byłam zachowaniem tej starszej.

Mnie waleczność opuściła po incydencie w nowej saunie podczas ratowania warkoczy, kiedy wreszcie pojęłam, gdzie się znajduję i że jestem sama. Stało się, bowiem to, czego najbardziej w życiu się obawiałam. Lecz ten „sierociniec”, w którym przebywałam przeszedł wszelkie najśmielsze moje wyobrażenia i oczekiwania!

Mniej więcej na przełomie grudnia zdarzyło się, że starsze dziewczęta w jakiś sposób „zorganizowały” przepiękne koce z wielbłądziej wełny w kolorach ecru i beżowym. Rozdzielono je po kojach, a matki zaczęły z nich szyć dla dzieci ciepłe spodnie.

W tym też czasie oznajmiono, że można pisać listy, ale tylko w języku niemieckim.

Na początku stycznia 1945 roku, barak zaczął pustoszeć. Nie tylko było w nim coraz mniej osób, ale zaczęły też znikać całe rzędy koi. Nie zauważyłam, kiedy je wynoszono, więc zjawisko było zagadką, lecz nie na długo. Wkrótce stało się jasne, że zaczęła się ewakuacja obozu.

Dopiero teraz wiem, że 11 stycznia 1945 roku, w pierwszym rzucie, do komand KL Sachsenhausen w Berlinie, odjechały matki posiadające pod opieką jedno dziecko.

Niebawem i ja powiadomiona zostałam na apelu, że w dniu następnym, czyli 16 stycznia 1945 roku, rodzina moja przeznaczona jest do transportu.

W ten ostatni radosny dla mnie wieczór, Basia ze wspólnej koi, rzewnie płakała. Matka jej, pani Irena Bańkowska, będąca świadkiem tej sceny, uspakajała i pocieszała córkę, a mnie obdarowała miską smakowitej zupy „melki”, o istnieniu, której w obozie nie miałam pojęcia. Płaczem Basi się nie przejmowałam. Zdawałam sobie sprawę, że rozpacz i smutek nie wynika z naszego rozstania, lecz zupełnie zrozumiałej zazdrości spowodowanej moim, a nie jej opuszczeniem obozu.

Po wojnie dowiedziałam się, że rodzina Bańkowskich: Barbara, brat Stanisław i matka Irena 17 stycznia 1945 roku, przetransportowani zostali do Berlina - Reinkendorfu, komanda KL Sachsenhausen. Po powrocie do Polski u rodziny w Żyrardowie odnaleźli ojca Bogusława, który uciekając z transportu do Pruszkowa uniknął represji, i osiedlili się tam na zawsze.

Okoliczności wyprowadzenia z obozu, pamiętam w kilku oderwanych od siebie obrazach, jakby pomiędzy nimi była pustka.

W dniu 16 stycznia 1945 roku, w bardzo mroźny ranek, w kolumnie dzieci z mego baraku, wyznaczonych do transportu, zmierzałam do niedaleko usytuowanej bramy lagrowej. Pełna niedowierzania, ale i nadziei na uwolnienie, szłam zgarbiona i skurczona w sobie z obawy, żeby lustrujący wymarsz SS-man przypadkiem nie wycofał mnie z szeregu. Toteż, tuż za bramą, po skręcie w lewo, za załomem zasłaniającego nas budynek wachy, odetchnęłam z prawdziwą ulgą.

Jednak całkowite rozluźnienie napięcia nastąpiło dopiero w trakcie ubierania się po kąpieli w saunie i wnet prysnęło jak bańka mydlana. Odprężonym i rozradowanym dzieciom, funkcyjna z obsługi zaczęła odbierać „zorganizowane” przez matki, poszczególne części garderoby krzycząc, że to własność Trzeciej Rzeszy! Spokojnie przeżyłam stratę zdublowanej bielizny, choć było szkoda i żal, ale wpadłam w poploch i rozpacz, gdy zabrała mi spodnie i to nie tylko te uszyte z koca przez mamę, lecz i przywiezione z Warszawy, które przy 20 stopniowym mrozie chroniły moje gołe nogi.

Stałam i z bezradności głośno płakałam. Nawet widok mamy i brata w perspektywie ostatniej wyjściowej sali, oraz świadomość, że nareszcie opuszczamy to piekielne miejsce, nie były w stanie mnie uspokoić. Dopiero inna litościwa osoba, widząc moje łzy pomogła odnaleźć mi jedne z nich, grzebiąc w dużej stercie odebranych dzieciom rzeczy.

O ironio! Działo się to akurat wtedy, gdy godzinę wcześniej mamie opuszczającej saunę, ku jej wielkiemu zdziwieniu i radości, oddano depozyt zawarty w papierowym worku, a także pieniądze!

Transport ewakuacyjny z obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau

Nasze nagłe opuszczenie obozu, wprawdzie szczęśliwie nie przez „komin” krematoryjny, co nam ciągle przepowiadano, wymuszone zostało nadciągającym i bardzo już bliskim frontem wojsk Armii Czerwonej. Przejęta tym doniosłym wydarzeniem, nie zdawałam sobie sprawy, że z tą chwilą zwrócono mi życie! Ale i nie przypuszczałam, że upragniona i długo wyczekiwana wolność, ponownie się oddala. Natomiast zagrożenie przybierze nieco inny charakter, o czym niebawem miałam się przekonać podczas niesłabnących bombardowań Berlina.

Tymczasem, około stu osobową grupę kobiet z jednym lub dwojgiem dzieci, bardzo pośpiesznie, wskutek wyjącego alarmu przeciwlotniczego, wyprowadziła z obozu eskorta SS-manów.

Ten dzień był wyjątkowo mroźny i bardzo słoneczny. Śnieg skrzypiał pod stopami idących, a słońce skrzyło jego biel i oślepiało swym blaskiem.

Podążając w szyku, uparcie wpatrywałam się w plecy beżowego palta idącej przede mną kobiety, na których widniała artystycznie wszyta, prostokątna łata po wyprutym kawałku „pasiaka”. Idąc nieustannie zastanawiałam się, w jaki sposób należałoby zatuszować ten szpecący akcent.

Na tych uporczywych rozmyślaniach, od których w żaden sposób nie mogłam się uwolnić, minęła niespostrzeżenie droga do stacji w Oświęcimiu. Tam załadowani do lokalnego osobowego pociągu, składającego się z wagonów typu „Cy”, co zanotował w pamięci mój brat Leszek, dotarliśmy jeszcze długo przed szarówką dnia do Mysłowic. Wysadzeni na otwartym, wysokim peronie, chyba cztery godziny podczas ogromnego mrozu, oczekiwaliśmy na nieznaną nam dalszy transport, choć panowała skryta nadzieja, że SS-mani rozpuszczą nas wolno.

Mróz, tężał coraz bardziej. Skupieni blisko siebie, chroniliśmy się przed napierającym zimnem. Siedziałam na kolanach mamy, kiedy zaczęły występować objawy zamarzania. Czułam już ciepło i przemożną senność. Zrozpaczonej mamie nie udało się nakłonić mnie do ruchu, więc czyniła wszystko abym nie zasnęła.

Zapadły już ciemności, gdy nareszcie nadszedł pociąg „wybawca”! Mama wraz z nadejściem ratunku odetchnęła z ulgą, a ja powoli tajałam z zimna siedząc w jego ogrzanym pulmanowskim wagonie typu Bx.

Cel podróży był niewiadomy. Stopniowo ujawniał się tylko jego kierunek, gdy w Katowicach, a później we Wrocławiu (Breslau), podczas postoju na bocznym torze w obrębie tych stacji, przeczekiwaliśmy bardzo bliskie i długotrwałe bombardowania.

Berlin

Do Berlina dotarliśmy wczesnym popołudniem. Na jego dworcu, podczas gdy matki podpisywały oświadczenie, że będą milczały skąd przybyły, my z bratem pełni zachwyty śledziliśmy funkcjonowanie ruchomych schodów, widzianych pierwszy raz w życiu. Był to jedyny jasny akcent tej koszmarnej podróży w trakcie, której prawdziwie się rozchorowałam.

Wreszcie doczekaliśmy momentu, w którym konwojujący SS-mani, przekazali naszą grupę przybyłemu z miasta, eleganckiemu oficerowi SS. Na jego tle czuliśmy się jak przebierańcy. Lecz w zderzeniu z normalnością cywilizowanej ulicy, poza wyglądem, ujawniło się także nasze zniewolenie. Bowiem, gromada wynędzniałych kobiet i dzieci, pędząca za swym przewodnikiem w wojskowym uniformie, skupiała na sobie nie tylko uwagę, ale i zdziwienie przechodniów. Niektórzy, aż przestawali. Czując ich ciekawe spojrzenia, kurczyłam się ze wstydu i upokorzenia, gdyż wydawało mi się, że mijający nas, widzą tylko moje nie od pary buty i czerwoną krechę na plecach palta.

Ale to było nic, w porównaniu z tym, co nieco później doświadczyliśmy od rówieśników z Hitlerjugend, którzy na nasz widok z pogardą, hardo wołali „ruskie świnię”! O, wtedy zawsze zaciskały się moje pięści, a wzrok szukał kamienia, bowiem urażona duma i niechęć do nich była przeogromna. Lecz wówczas brat Leszek, pełen rozwagi i świadomy konsekwencji, na szczęście w porę hamował te bezsilne odwetowe zapędy.

Berlin-Hennigsdorf

Po opuszczeniu dworca, w wielkim pośpiechu, bo zapowiedziany alarm przeciwlotniczy porażał naszego konwojenta, z trudem za nim nadążając, oraz zmieniając środki komunikacji, dotarliśmy do miejscowości Hennigsdorf. Było to północne przedmieście Berlina o niskiej zabudowie wolno stojących domków, przeważnie odgradzonych płotkami od ciągu ulicznego chodnika.

Ciemniało już, gdy rozwleczeni w długą kolumnę dobrnęliśmy do miejscowego kina, w którym na rozrzuconej słomie, przygotowano nocleg. Jak później się okazało, mieliśmy wtedy dużo szczęścia, gdyż niebawem to tymczasowe przytulisko doszczętnie spłonęło podczas nalotu. Nie była to jednak docelowa kwatera naszej podróży. Nazajutrz przeniesiono wszystkich do gospody pod lasem, a niebawem zbyt liczny transport rozdzielono na trzy części. Dopiero po wojnie ujawniło się, że jedną grupę skierowano do Linzu w Austrii.

My, z wielu innymi rodzinami pozostaliśmy na miejscu. Koczowaliśmy na zasłanej słomą podłodze w jednej z dwu sal. Matki zatrudnione do pomocy w kuchni, obierały kartofle.

Kiedy po jakimś czasie przed budynek zajechały furmanki chyba z rodzinami Ukraińców, nie przypuszczaliśmy, że jest to zapowiedź zmiany naszego miejsca pobytu.

Berlin dzielnica Siemenstad

Tym razem przetransportowani zostaliśmy do dzielnicy Siemenstadt. Poniżej nasypu stacji Jungfernheide, ukazał się spory teren w kształcie czworoboku, całkiem spustoszony przez pożar. Widniały na nim dwa lub trzy bardzo głębokie leje po wybuchach bomb, oraz zarysy ław fundamentowych, ślady po licznych barakach obozowych.

Dopiero, gdy stopniał śnieg, pogorzeliśko dodatkowo odkryło stopione bryłki naczyń szklanych i fajansowych, które mnie i Krysię Zawadzką (Politowską) fascynowały, choć niczemu nie służyły.

Powierzchnia terenu była uprzątnięta, cegły z rozbiórki ustawione w kozłach, a nie rozmontowane jeszcze szyny do transportu wagonika, i on sam służyły niebawem nam dzieciom, do wspaniałej zabawy. Ach jak bardzo byliśmy jej spragnieni.

Otoczenie terenu było zróżnicowane. Za jednym jego bokiem widniał las lub park, za drugim nasyp kolejowy ze stacją Jungfernheide, za trzecim stała samotna kamienica zamieszkała chyba przez cywilną społeczność niemiecką, a za czwartym działki ogrodnicze. Na placu oznakę życia stanowił podłużny budynek kuchni obozowej, oraz jedyny z częściowo wykończonym wnętrzem, drewniany barak przeznaczony dla nas. W poszczególnych pomieszczeniach kwaterowały po trzy lub cztery rodziny. Limit zamieszkujących wyznaczały trzy – piętrowe, z pojedynczymi legowiskami przyce wyposażone w sieniaki i koce.

W moim pokoju mieszkała Krysię Zawadzka (Politowska) z babcią, panią Aleksandrą Nowik. Byłam świadkiem sporów pomiędzy nimi. Babcia w trosce o bezpieczeństwo wnuczki ograniczała jej swobodę w zabawach poza blokiem, a Krysię krzykiem wymuszała swoją niezależność. Ponadto, była z nami liczna rodzina, której nazwiska nie pamiętam. Dorosły syn tej pani będący chyba na przymusowych robotach w Berlinie, dowiedział się jakimś sposobem o naszym transporcie i dołączył do grupy za zezwoleniem SS-mana, który zastrzegł, że kartek na aprowizację dla niego nie dostanie.

Z naszej około 30-osobowej grupy pamiętam też: Eugenię Krzywobłocką, pełniącą rolę tłumaczki z racji znajomości języka niemieckiego, będącą z córkami Bożeną i Różą, Juliannę Kobus z córką Feliksą obecnie Śmiałkowską, Michalinę Aksamitowską z synem Januszem, Artura z matką, których nazwiska sobie nie przypominam, oraz panią kapitanową Marię Czaplicką, osobę bardzo delikatną i życiowo niezaradną.

Nim zaczęła funkcjonować obozowa kuchnia, przez parę kolejnych dni, mama gotowała dla nas tak zwaną „wodziankę”, na bazie minimalnej ilości pokrojonego w kostkę chleba. Zbyt późno zdała sobie sprawę jak naiwnie postąpiła, oddając do wspólnego użytku osób zamieszkałych w pokoju, wszystkie „zorganizowane” w gospodzie kartofle, które zjedzono pierwszego dnia. Okazało się, że inni nie byli tak spontaniczni, lecz bardziej roztropni i kiedy ukradkiem wyciągali swoje zapasy my mieliśmy tylko „wodziankę”!

Uruchomienie zbiorowej aprowizacji wcale nie spełniło naszych oczekiwań. Przyznane racje żywnościowe były i tak niewystarczające, więc głód nadal włókł się za nami i nigdy nie opuszczał.

Tak samo działo się z zagrożeniem życia. Pomimo, że okolica wcześniej doznała licznych zniszczeń, to nadal nękana była nocnymi bombardowaniami. Wtedy wraz z SS-manami kryliśmy się w wykopanej prymitywnej ziemiance oszalowanej belkami i nakrytej ziemią. Nocnym nalotom zazwyczaj towarzyszyły, widniejące na niebie rozświetlające teren tak zwane flary. Wyglądały one jak rozgałęzione licznymi ramionami żyrandole, które długo nieruchomo zawieszono w powietrzu, przerażały swą niesamowitością.

Najtrudniejsze jednak, było przetrwanie świstu lecących bomb, gdyż na moment przed ich wybuchem nastawała złowieszcza cisza. W takich chwilach, zgromadzeni w schronie trwali albo w absolutnym milczeniu, albo głośno się modlili.

W trakcie, któregoś bardzo intensywnego nalotu, podmuch bliskiego wybuchu spowodował, że jedna ze ścian naszego baraku runęła. Podczas innego, ktoś skradł mamie pajdkę suchara, w którym przechowywała w KL Auschwitz – Birkenau ukryty cenny pierścionek. I choć każdy następny nieodmiennie napawał lękiem mieliśmy jednak nadzieję na ocalenie sądząc, że ponowne niszczenie tego samego terenu może już się nie powtórzy. Czepiając się tego przeświadczenia, za każdym razem resztki nocnego niepokoju rozwiewał nadchodzący dzień. A podczas jego trwania, głębokie leje, widomy znak po spadłych tu wcześniej bombach już nie budziły w nas dzieciach grozy, lecz zainteresowanie i chęć ich penetracji podczas zabawy.

Kiedyś zaciekawieni, zeszlśmy na dno dołu położonego bliżej lasu. Wtedy niespodziewanie zostaliśmy obrzuceni grudami ziemi przez chłopaków z Hitlerjugend, stojących niczym Indianie na części jego korony. Przerażeni ich nagłym najściem, uciekaliśmy w wielkim popłochu, kierując się do przeciwległego stoku.

Lecz wspinaczka po usypującym się piachu stromej ściany, wcale nie była szybka ani łatwa. Toteż, w tym panicznym odwrocie, aby zmylić naszą tożsamość, o ironio wzywaliśmy pomocy naszych niemieckich „opiekunów”, a ich dorosłych rodaków, wołając co sił: „bitte herr”, bitte herr”.

Berling-Friedrich Krause – Ufer Strasse dzielnica Weding

Nadeszło wczesne przedwiośnie, wraz, z którym skierowano tu mężczyzn pochodzenia włoskiego. Ich przybycie było sygnałem, że nas wkrótce przeniosą. I tak się stało. Tym razem przetransportowani zostaliśmy do nieodległej dzielnicy Weding, z docelową stacją S – Bahn Putlitzstrasse, w pobliżu, której usytuowana była ośmio kominowa elektrownia.

Zamieszkaliśmy przy ulicy Friedrich Krause Ufer biegnącej wzdłuż kanału, przez który łagodnym łukiem przerzucony był szlak kolei naziemnej. Niespełna sto metrów dalej oba brzegi tego cieką łączył betonowy most, za którym widniała duża przystań przeładunkowa. Budynek naszego nowego lokum, dwu lub trzy-piętrowy, szary i brzydki, jednym bokiem przylegał do nasypu wiaduktu, podczas gdy jego tył sąsiedował z jakąś dużą fabryką. W głębi, frontowej mrocznej dość szerokiej sieni, przy jej prawej ścianie, mieściły się w pół zaokrąglone kamienne schody wiodące na górę.

Zajmowaliśmy pomieszczenia I-piętra, którego powierzchnia podzielona była na mniejsze pokoje, wyposażone w dwu lub trzy poziome pojedyncze drewniane prycze. II-piętro było nie zamieszkałe, pomimo że, w przestronnych salach rozlokowano bardzo dużo identycznych legowisk mających za podstawę niczym nie nakryte, luźno ułożone deski, które zresztą bez skrupułów podbieraliśmy na opał.

Głód panował ogromny. Z wyżywienia objętego zbiorowym przydziałem, pamiętam zaledwie: chleb, początkowo jakąś zupę a potem tylko parowane kartofle w łupinach, których nie mogłam przełknąć tak były paskudne.

W tej sytuacji, aby coś dogotować, mama wybierała wprost ze śmietników odpadki jarzyn, albo usiłowała wchodzić na zaplecza restauracji zebrząc o obierki. Czasami litościwe osoby, wrzucały pośród nie po parę kartofli, brukiew lub cebulę. Na taką wyprawę zawsze zabierała mnie ze sobą jako żywy argument wzbudzający litość i mający zapobiec przepędzeniu. Chcąc wesprzeć mamę, nigdy jej nie odmawiałam i towarzyszyłam wszędzie, choć płonęłam z ogromnego wstydu i upokorzenia!

Dziś, gdy widzę człowieka wyciągającego rękę, jestem pełna współczucia, gdyż wiem, że przemożna potrzeba zdobycia czegoś, najpierw musiała zwyciężyć jego własną godność.

Gotowanie jedzenia z tego, co udało się nam zdobyć, a przeważnie z powtórnie obranych kartoflanych obierek, odbywało się na płytce piecyka typu „koza”, który służył do ogrzania pokoju. Kiedyś, przy takiej czynności nieoczekiwanie mama doznała rozległego oparzenia parą wierzchu dłoni. Widocznie więźniowie mieli zabezpieczoną opiekę medyczną, skoro wysłano ją do lekarza, który przyjmował na piętrze cywilnej kamienicy. Poszliśmy znowu razem. Wyglądając przez okno poczekalni na ulicę, zobaczyłam niemieckie dzieci jeżdżące na wrotkach. Szczerze im wtedy zazdrościłam normalności życia, możliwości zabawy oraz pewności siebie, ale nie tego, że są Niemcami.

Na początku kwietnia 1945 roku ktoś odkrył, że nasze ocalałe w KL Birkenau złotówki można wymienić w berlińskim banku (Deutsche Reichsbank). Za 200 złotych mama otrzymała 100 marek. Odbyło się to przy pomocy pewnego osobnika, który całe przedsięwzięcie zorganizował i zrealizował. Transakcja dokonana dnia 4 kwietnia 1945 roku musiała być legalna, skoro została formalnie poświadczona wpisem w kennkarcie mamy i podstemplowana okrągłą pieczęcią Banku z widniejącą „Gapą”.

Za marki te w niemieckich sklepach, gdzie żywność dostępna była tylko na kartki, można było wyłącznie nabyć pyszne sałatki sporządzane z kiszonych buraków i innych pospolitych warzyw doprawionych ślimakami lub mleczem śledziowym.

Intensywność nalotów na Berlin wcale nie słabła. Toteż i tu każdej nocy już zwyczajowo schodziliśmy do solidnego i fachowo urządzonego schronu w piwnicach domu, a może przyległej fabryki. W jego pomieszczeniu chyba dla zabezpieczenia przed ewentualnym zawaleniem, w pewnych odstępach powierzchnię sufitu podierały pionowe belki. W sumie było w nim przerażająco, tym bardziej, że podczas nalotu dochodziły odgłosy eksplozji bomb i związane z tym drgania. Wkrótce jakoś przywykłam. Aby odwrócić uwagę od niebezpieczeństwa, wchodziłam w kwadratowy obręb osteplowania na podłodze i zwinięta w kłębek, gdyż na tyle było miejsca, przeważnie natychmiast zasypiałam.

Rano wyprowadzano nas do pracy realizowanej na rzecz SS-Baubrigade, gdyż jak po wojnie stwierdzono stanowiliśmy jedno z wielu komand KL Sachsenhausen. Zatrudnieni byliśmy w pobliżu stacji S-Bahn Tiergarten przy odgruzowywaniu zburzonych domów, co podejmowano natychmiast po nalotach. Załadowane oczyszczonymi ceglami wagonetki toczyliśmy po torze na brzeg kanału. Tam albo zaraz przeładowywane były na oczekujące „berlinki” (płaskie barki), albo ustawiane w kozłach pozostawały na jego skraju. Te niby proste czynności, wcale też nie były bezpieczne, gdyż gruzowisko ulegało obsunięciom, a ręce bez ochronnych rękawic obtarciom i skaleczeniom.

Sytuacja stawała się bardzo groźna, gdy podczas pracy zaskakiwały nas dzienne bombardowania – wtedy mówiono, że nadlatują Rosjanie lub Amerykanie, gdyż Anglicy działali nocą. Pilnujący SS-mani uciekali znacznie wcześniej, powiadomieni przez radio o zbliżającym się nalocie. Nikt nie troszczył się, gdzie my się schronimy.

Za pierwszym razem podczas wyjącego alarmu zdążyliśmy tylko przebiec na drugą stronę ulicy, gdzie stał rząd wypalonych domów. Ich frontowe ściany były całe, lecz od strony podwórka zwalone, odsłaniając wyłożoną białymi kafelkami pralnię w suterenie czy piwnicy. Oficyny stanowiły sterzące zgliszcza. Małe podwórko odsłaniało szczątek widocznego nieba, na którym z zapartym tchem, wypatrywaliśmy „wiatraczków” odłączających się od zrzuconych bomb.

Kolejnym razem byliśmy już bardziej doświadczeni. Baczenie obserwowaliśmy zachowanie SS-manów oraz kolumnę ludności cywilnej zmierzającą do schronów z dużym wyprzedzeniem, bo wiedzącą z radia o zamierzonym nalocie. Wówczas w odpowiednim momencie przyłączaliśmy się do niej.

Schronem był budynek chyba piętrowy, w kształcie rotundy o obłej i lekko spadzistej kopule dachu. Brat tłumaczył mi, że jego pokrycie jest z kauczuku, wobec czego upadające bomby się odbijają. Nie bardzo w to wierzyłam, ale skoro wiele ludzi tu ścigało, więc musiało być bezpiecznie. Wnętrze okazało się wyciszone i luksusowe. Nikt nas nie przepędzał. Ulokowaliśmy się na schodach biegnących łukiem w prawo od wejścia i przezornie nie odzywaliśmy do siebie, aby nie stwarzać pretekstu.

Innym razem, skierowaliśmy się do schronu zamaskowanego pod gruzowiskiem wypalonego kwartału budynków. Organizacja w jego wnętrzu była wzorowa. Poszczególne wąskie korytarze, przy ścianach, których były ustawione ławeczki, miały przeznaczenie dla konkretnych grup osób.

Ten nalot trwał długo. Gdy wyszliśmy na zewnątrz było wczesne popołudnie, lecz snujące się dymy nad płonącym miastem sprawiały wrażenie zmierzchu. A rozżarzone uliczne drzewa wyglądały jak rozświetlone choinki w czasie świąt Bożego Narodzenia.

Kiedyś w drodze powrotnej z pracy zatrzymaliśmy się z całą grupą dzieci nieopodal naszego domu na przystani przeładunkowej kanału blisko mostu. Zainteresowały nas zgromadzone na pobrzeżu duże paki z ciuchami. Jako, że nastąpiło ciepło, a my nie mieliśmy się, w co ubierać, niewiele myśląc zaczęliśmy je rozrywać i wyszukiwać, co komu wydawało się przydatne. Nim zaskoczeni naszym działaniem Niemcy, grożąc i goniąc skutecznie nas przepędzili, zdążyliśmy rozwłóczyć wiele tobołów, choć zdobycz okazała się bardzo mizerna, a uczyniony bałagan przeogromny.

Po pewnym czasie zaludniono II – piętro naszego domu. Zamieszkali tam bardzo wynędzniali głodem i pracą mężczyźni pochodzenia żydowskiego. Ich przybycie wróżyło, że wkrótce nas przeniosą. Lecz zanim opuściliśmy to miejsce, pamiętam spotkanie z jednym z nich. Stałam w załomie schodów gryząc kawałek brukwi. Nagle pojawił się „cień” człowieka, który gwałtownie wyrwał mi pozostały kęs. Do dziś widzę te pałające głęboko osadzone oczy. I pomimo, że bardzo się wystraszyłam, było mi go wtedy ogromnie żal. Często też myślałam czy przeżył, bo jak się okazało koniec wojny był tuż, tuż, niespełna za miesiąc.

Miejscowość Mügelheim

Przypuszczenie się sprawdziło. Otwartą ciężarówką odjechaliśmy na południowy wschód od Berlina, do Mügelheim, położonego trzy kilometry za Köpenick. Miejscowości niewielkiej, zabudowanej jednorodzinnymi domkami i pięknie położonej pomiędzy ścianą dużego lasu, a jeziorem czy może odnogą Sprewy.

Przy wyjeździe z głównego traktu, wiodącego pośród dorodnego starego mieszanego drzewostanu, zaraz po lewej stronie usytuowane były koszary Wehrmachtu. Dalej jezdnia stawała się dwukierunkowa gdyż po jej środku stał kościół. Tuż za nim w prawo skręcała boczna ulica. Po jej lewej stronie znajdował się ciek wodny i cmentarz, a po prawej budynek Volkssturmu. W niewielkiej odległości za nim lekkim skosem biegła boczna ulica dochodząca do gęstego, wysokiego sosnowego zagaju, do którego przylegał obóz otoczony drutami składający się z kilku drewnianych baraków. Vis, a vis widniała rozpoczęta budowa małych chyba jedno – izbowych domków, które dopiero miały podciągnięte murowane ściany. Przy bramie dyżurował niesympatyczny SS-man.

Głód towarzyszył nam nadal, ale za to nie było nalotów. Matki zatrudniono w jakimś prywatnym przedsiębiorstwie.

W ostatnich dniach kwietnia, gdy coraz bliżej i potężniej słychać był dział Armii Czerwonej, SS-mani wyprowadzili nas na trakt wiodący w kierunku Berlina. Przy kościele zatrzymali ciężarówkę i kazali się do niej ładować. Parę rodzin wsiadło, reszta się ociągała, więc zniecierpliwiony zwłoką kierowca gwałtownie ruszył. Z powojennej relacji Krysi Zawadzkiej (Politowskiej) wiadomo, że SS-mani wrócili z nimi do dzielnicy Wedding na Friedrich Krauze Uferstrasse, gdzie nie zastali już zamieszkujących II-piętro żydowskich więźniów i wnet, pozostawieni bez aprowizacji przez niemieckich „opiekunów” z SS, doczekali wyzwolenia przez żołnierzy polskich.

My natomiast, porzuceni na drodze, czuliśmy się prawie wolni. Nadchodzącą noc, podczas której huczała kanonada artylerii, moja rodzina spędziła na jakiejś werandzie domu stojącego nieopodal kościoła.

Nazajutrz, mama poszukując pracy za jedzenie, poznała panią polskiego pochodzenia, która wraz z mężem i synkiem Peterem wyemigrowała z Wielkopolski jeszcze przed wojną. Kobieta ta przejęta naszym losem wyszukała dla nas mieszkanie w niemieckim domu stojącym nad jeziorem przy przystani kajakowej, prawie naprzeciw budynku Volkssturmu. Parkan posesji sąsiadował z cmentarzem. Na wprost kilku wejściowych schodków do domu od strony podwórka, oddalony o parę kroków, stał drewniany ustęp. W głębi terenu na prawo widoczny był domek campingowy zajmowany przez niemiecką kobietę, a nad brzegiem jeziora w hangarze piętrzyły się kajaki. Do naszej dyspozycji oddano pokój z kuchnią na pięterku. Spadki dachu tworzyły dwie wnęki. W tej od strony ulicy był schowek, a od podwórka WC, gdzie odkryliśmy śliczny, czerwony, dziecięcy samochodek na pedały. Kuchnia z oknem na ulicę mieściła się na wprost schodów.

Gospodarze, starsi ludzie, udostępniający lokum na przełomie wojny, albo asekurowali się naszą obecnością, a jeśli nie to okazali dużą odwagę wobec reżimu. Zresztą nie ważne, jakimi pobudkami kierowali się ci Niemcy przyjmując nas do swego domu. Chwała im!. A dobry Bóg niech ma ich także w swojej opiece!

Wyzwolenie

Nasze wyzwolenie następowało małymi „kroczkami” i w przedziwny sposób. Najpierw porzucono nas samotnych na ulicy, ale wnet ktoś podał pomocną rękę, a jeszcze inny udostępnił dach nad głową. Dopiero na samym końcu wkroczył faktyczny wyzwoliciel, rosyjski żołnierz, którego ku memu zdumieniu, chlebem i solą wyszli witać nasi niemieccy gospodarze, a ja im w tym towarzyszyłam. Nie zwrócił na nas żadnej uwagi. Szedł samotny i czujny w kierunku gdzie przedtem stacjonowały oddwoły wojsk SS w czarnych mundurach.

Tego wieczora i nocy zmasowany ostrzał artyleryjski wprost rozsadzał okolicę, a my nie zważając na to, pierwszy raz od dziewięciu miesięcy, nareszcie spaliśmy w prawdziwym łóżku i prawdziwej pościeli, z której nikt i nic nie było w stanie nas wydobyć.

Na drugi dzień, na dobre weszło wojsko rosyjskie z taborami. A gdy się już całkiem uspokoiło, dopiero wtedy poszliśmy z mamą do opustoszałego budynku Volkssturmu, w którym chwilowo był lazaret, o czym świadczyła walająca się jeszcze pokrwawiona bielizna, którą pozbierałyśmy. Natomiast w jego piwnicy, żołnierz rosyjski otworzył stojącą tam szafę i zgarniając w niej wszystko podał mamie. Widząc zawahanie powiedział „Bieri to zdobyczne”. Skoro tak, to ja poprosiłam o rower, który zaraz mi skradziono, ale wnet dostałam następny.

Tymczasem dobiegały ostatnie chwile wojny na tym terenie, lecz wielu jeszcze poległo. Później u zbiegu naszej ulicy z głównym traktem, przy zbiorowej, żołnierskiej mogile, postawiono im wszystkim upamiętniającą tablicę.

Gdzie w tym czasie przebywali pozostali nasi współwięźniowie, tego nie wiedzieliśmy. W pewnym momencie pojawiła się tylko Fela Kobus (obecnie Śmiałkowska). Jej mama była bardzo osłabiona i chora, więc na razie nadal pozostawały w opustoszałym lagrze – (zmarła w listopadzie 1945 roku po powrocie do Warszawy).

Moja mama, spuchnięta do pachwin z głodu i po gwałtownym ataku serca, również nie wybierała się w drogę powrotną. Problem naszego wyżywienia, samoistnie rozwiązało wojsko rozbijając lokalny sklep spożywczy i ofiarując nam jego zapasy. Jezioro dostarczało ryb, które głuszone granatami, wzbogacały nie tylko nasz jadłospis. W chleb i kartofle zaopatrywaliśmy się chodząc do byłych koszar Wehrmachtu, gdzie ulokował się garnizon Rosjan.

Wtedy mieliśmy możliwość poznania i zaprzyjaźnienia się z Siemionem piętnastoletnim „Synem Pułku” – młodocianym rosyjskim żołnierzem. I choć wojna przedwcześnie uczyniła go twardym i doświadczonego człowiekiem, mimo to poza służbą chętnie szukał naszego i Feli towarzystwa. Przeważnie pływaliśmy kajakami. Pomimo odmienności języka, dużo opowiadał, nie krępując się nadużywania wulgarnych wyrazów, do których wnet przywykliśmy jak do reguły. Z tego, co pojęłam i zapamiętałam, jego pełne emocji wspomnienia dotyczyły nie tylko stoczonych bojów militarnych, ale i przemocy stosowanej wobec kobiet. Nie bardzo pojmowałam, co było powodem tych przechwałek, ale mnie dziecku te działania wydawały się niegodne i smutne.

Pozostali żołnierze, z którymi mieliśmy styczność, byli to prości, serdeczni ludzie chcący za wszelką cenę ukazać dobrobyt swego kraju, więc z zapałem opowiadali nawet o „fabrykach pomarańczy”.

Niebawem wybrałyśmy się z Felą do budynku Vokssturm, który przyciągał nas swoją tajemniczością. Poprzednim razem dotarliśmy do I-piętra, gdzie było pełno broni, a brat Leszek omal mnie nie zastrzelił celując z karabinu, który okazał się załadowany. Tym razem poszłyśmy obie, zbadać, co znajduje się na wyższym piętrze. Odkryłyśmy prywatne opuszczone mieszkanie.

Piętnastoletnią wówczas Felę zainteresowała zawartość szafy, jako że weszłyśmy do sypialni. Był to nieduży pokoik. Dwa łóżka małżeńskie obok siebie. Szafka nocna od strony okna swą szerokością wytyczała tyleż przestrzeni. Naprzeciw łóżek równiutko wzdłuż zasłanych pierzynami, stała szafa.

Znalazłam dużego misia i lalkę, której wszystkie przeguby były ruchome, ponadto zamykała oczy i mówiła. Szczęśliwa zdobyczą właściwą memu wiekowi, w oczekiwaniu na Felę, położyłam się w poprzek łóżka bliższego drzwi i podziwiałam zabawkę. W pewnym momencie, niechcący odwróciłam głowę na bok, a wtedy przy swej twarzy ujrzałam ludzką dłoń! Zamarłam ze strachu. W przerażeniu, zostawiłam trofea, usiłując w panice odnaleźć wyjście. Fela spytała, dokąd idę. Zbyłam ją mówiąc, że do ubikacji, a właściwie bałam się, żeby w tej ucieczce mnie nie wyprzedziła. Ze schodów zeskakiwałam susami. W domu nic nie wspominałam o wydarzeniu, którego doświadczyłam. Po jakimś czasie przyszła Fela z moimi zabawkami oznajmiając, że skoro je porzuciłam to są jej. Dziwiła się tylko, dlaczego nie wróciłam. Wyjawiłam prawdę. Była całkiem zadowolona, że nie wiedziała.

Po tygodniu rozeszła się wieść, że tym trupem w łóżku miał być komendant Volkssturmu, który popełnił samobójstwo w chwili wejścia Rosjan. W brutalny sposób, ściągano go potem z tego drugiego piętra.

W dniu kapitulacji 8 czy 9 maja 1945 roku zapragnęłyśmy z Felą obejrzeć mającą się podobno odbyć w Berlinie defiladę. Nie informując mamy o naszym pomysłе wyprawiłyśmy się obie na jednym rowerze. Dojechałyśmy zaledwie trzy kilometry do Köpenick. Żadnych spodziewanych uroczystości nigdzie nie było, więc wracałyśmy bardzo zawiedzione. W drodze powrotnej natknęłyśmy się na sporą grupę Niemców zdążających w kierunku Mügelheim, a za nimi usiłującego bezskutecznie je dogonić pijanego, uzbrojonego rosyjskiego żołnierza. Nim zdążyłyśmy ocenić sytuację, zatrzymał nas i zabrał rower, na którym dogonił uciekające. Wtedy wyszarpał jedną z nich jak ze stada i wtłoczył do stojącej przydrożnej budki. Rower wprawdzie zostawił na zewnątrz ale, że miał broń, obawiałyśmy się próbować go odzyskać. Pozostałe, bardzo zdenerwowane kobiety złorzeczyły po niemiecku, myślę, że i nam. Mimo, że miałam 10 lat, zdawałam sobie sprawę, że tej schwytanej osobie dzieje się naprawdę coś bardzo złego.

Dlatego po incydencie na drodze, słowo „guliać” nabrało zupełnie innego znaczenia i przestało zapowiadać beztruską zabawę. Bowiem brutalna przemoc, której byłam świadkiem sprawiła, że przed tym „guliać”, razem z bratem już bardzo strześliśmy mamy, bacząc aby poza domem nie zostawiać jej samej, pomimo że nasze układy z garnizonem rosyjskim były bardzo poprawne.

Z odzyskaniem wolności ogarnęła mnie przemożna tęsknota za krajem i Warszawą. Jednocześnie poczułam rozpierającą dumę z przynależności do narodu polskiego, co natychmiast uzewnętrzniłam przypiętą na piersi własnoręcznie uszytą białą – czerwoną kokardką. Obnosiłam się z nią jak z talizmanem, który dawał poczucie godności i pewności siebie. I dlatego, że czułam się już w pełni niezależnym, wolnym człowiekiem, potrafiłam ze spokojem z własnej woli wykonać prośbę niemieckiego

właściciela domu, aby posegregować wyrzucane śmieci. Mało zwyczaj ten, którego wcześniej nie znałam, mimo że kłopotliwy w stosowaniu, uznałam nawet za wart naśladowania wszędzie, co czynię.

Wymieniony gospodarz domu, był trzecim Niemcem, którego zapamiętałam i dobrze o nim myślę. Pierwszy, jeszcze w Warszawie w odruchu serdeczności usiłował zawiązać mi wstążkę na warkoczach, drugi w KL Birkenau ocalił je od obcięcia, a ten trzeci w krytycznym momencie przyjął do własnego domu.

Chyba wspomnienie tych trzech mężczyzn sprawiło, że po zakończeniu wojny nie żywiłam niechętnego stosunku do całego narodu niemieckiego, tylko niszczycielskiego w swych założeniach systemu totalitarnego. I dobrze by było, aby nikt przez butne fałszowanie historii nie sprawił, żebym na końcówce życia, musiała zmieniać swój pogląd, zbudowany na pamięci o tamtych ludziach, od których nie zaznałam zła.

Tymczasem trwał słoneczny maj. W okolicy dostępny las i akwen wodny sprzyjały, że marzenie o zabawie mogło się wreszcie realizować, choć w owym czasie nie zawsze była ona całkiem bezpieczna. Niewinne wyprawy kajakami po głębokiej Sprewie przy braku umiejętności pływania, mogły się okazać tak samo wielce ryzykowne jak i zbieranie dorodnych poziomek oraz woreczków z prochem, pomiędzy porzuconymi w lesie panzerfaustami i granatami.

Kiedy Fela Kobus z matką opuściły Mügelheim, wreszcie i my, przyspieszani przez miejscowych niemieckich notabli, zaczęliśmy zbierać się do powrotu do kraju. Przed odjazdem pod koniec czerwca 1945 roku z radosnym pożegnaniem udaliśmy się do zaprzyjaźnionych z nami rosyjskich żołnierzy. Pełna entuzjazmu w dobrej wierze zapytałam, kiedy i oni spodziewają się wyjazdu. Wtedy, ku memu zaskoczeniu dowiedziałam się, że nie prędko! Na moje dociekiwe, dlaczego, żołnierz odrzekł „Dziecko, jesteś jeszcze za mała, żeby to zrozumieć”. I była to święta racja – nie rozumiałam!

Powrót do Polski

Punkt zborny był w Köpenick. W wolno stojącym domu, chyba przez trzy dni gromadzono przed podróżą na wschód, nie tylko samotnych, ale i rodziny z małymi dziećmi. Niewielkiej gromadzie ludności polskiej, na koniec niewolniczego pobytu, Niemcy zaproponowali kąpiel w łaźni.

O nie! Wszyscy inni chętnie skorzystali z tej możliwości, tylko nie ja. Po upokorzeniach w saunie KL Birkenau, pozostał mi uraz na zawsze, więc stanowczo się sprzeciwiłam odmawiając udziału w tym zbiorowym myciu.

Po załatwieniu repatriacyjnych formalności i otrzymaniu po 100 złotych na osobę, spora grupa Polaków przeniosła się na dworzec w Köpenick w nadziei doczekania jakiegoś transportu. Do pierwszego pociągu nie udało się nam zmieścić, więc czekaliśmy na następny.

Tymczasem zupełnie nieoczekiwanie pojawiła się znajoma z Mügelheim, która zapragnęła jeszcze raz nas pożegnać. Miłe było to z jej strony, ale i niebezpieczne w tym zdziżalnym obyczajowo czasie. Zapadła już noc, kiedy zapowiedziano pociąg towarowy jadący w kierunku Kostrzyna. Załadowaliśmy się wbrew logice, a nasza znajoma z synkiem Peterem pozostała sama na stacji. Mama z wielką troską myślała o jej bezpieczeństwie, znając postępowanie rosyjskich żołnierzy w stosunku do Niemek. Przesłany później z Polski przez umyślnego człowieka list nie wiadomo czy do niej dotarł. Nigdy nie doczekaliśmy się odpowiedzi.

Osiedlanie w Landsbergu obecnym Gorzowie Wielkopolskim

Po dziesięciu dniach podróży, wielu zmianach kolejowych towarowych składów z odkrytymi wagonami, niezliczonych tarapatach i stracie podręcznego bagażu, dojechaliśmy wreszcie do Kostrzyna. Tu z wielkim trudem, gdyż tłok był przeogromny, wsiedliśmy do osobowego pociągu, który według wszelkich dostępnych informacji miał jechać w kierunku Warszawy.

W rozmowach z licznymi Polakami, chyba szmuglerami względnie szabrownikami, bo bardzo dobrze znającymi sytuację na trasie i w kraju, dowiedzieliśmy się dopiero, że Warszawa cała leży w gruzach, doszczętnie spalona przez Niemców. Natomiast nieliczne ocalałe lokale lub tylko częściowo uszkodzone, a nadające się jeszcze do zamieszkania, zostały zajęte przez ludność powracającą za wojskiem w styczniu 1945 roku. Ponieważ był już 10 lipca 1945 roku, radzono nam, aby zatrzymać się w Landsbergu nad Wartą (obecnie Gorzowie Wielkopolskim). W mieście tym podobno dwa tygodnie wcześniej Rosjanie mieli dokonać wysiedlenia ludności niemieckiej zgodnie z postanowieniami jałtańskiego traktatu, który po zakończeniu działań wojennych natychmiast zaczęto wprowadzać w życie.

Ku mojej rozpaczy, mama w lot i całkiem serio rozważała usłyszane informacje. Postanowiła zatrzymać się w podróży i osobiście sprawdzić istniejące możliwości tymczasowego osiedlenia się, a w listach wysłanych do rodziny w Warszawie zapytać czy ewentualny do niej powrót jest teraz realny.

Ta logiczna decyzja mamy, przyspieszona dojazdem do miasta i mającym się wkrótce zatrzymać pociągiem, na którą tak nagle nie byłam przygotowana, w moim odczuciu raptownie oddalała wizję wytęsknionej Warszawy, która była mi synonimem Polski i domu rodzinnego.

Owładnięta bezsilnością nie chciałam opuścić wagonu. Kiedy już pociąg ruszył natychmiast go zatrzymano, a mnie broniącą się zajadle, jakiś zniecierpliwiony pasażer wyniósł na peron. Wtedy w akcie sprzeciwu wobec przemocy i zawiedzionej nadziei, publicznie wyparłam się Matki! Zebrał się tłum, wylegitymowano mamę, wypytano brata, który przysięgał, że jestem jego siostrą. A ja nie odwołując mego nieprawdziwego oświadczenia względem mamy, nadal uparcie trwałam przy postanowieniu powrotu do Warszawy. Mama upewniwszy się, że w najbliższym czasie nie będzie żadnego pociągu, pozostawiła mnie samą, abym ochłonęła. I tak też się stało, bo choć bardzo nieszczęśliwa, ale poddałam się losowi.

Na najbliższą noc i następne dni, tymczasowe zakwaterowanie otrzymaliśmy w schronisku będącym pod zarządem Państwowego Urzędu Repatriacyjnego (PUR), mieszczącego się przy ulicy Strzeleckiej. Poszukiwanie docelowego pomieszczenia, nie trwało zbyt długo. Na sąsiedniej ulicy Parkowej (obecnie Wybickiego) pod nr 5 na II piętrze zajęliśmy 3-pokojowy, umeblowany lokal nr 6 wyposażony w pościel, oraz potrzebny sprzęt gospodarstwa domowego. W dwa lata później za niemieckie meble, oszacowane przez polską komisję, do kasy Zarządu Miejskiego, mama wpłaciła określoną kwotę.

Po zasiedleniu wybranego mieszkania, którego należało stale pilnować przed szabrownikami, brat Leszek rozchorował się na tyfus brzuszny. Przebieg choroby był bardzo ostry i trwał około pięć tygodni. W początkowej fazie, przy utrzymującej się wysokiej temperaturze mama przywlekała go do szpitala, co okazało się bezcelowe. Nie tylko nie został przyjęty, ale odmówiono mu jakiegokolwiek pomocy z braku leków, a w szczególności surowicy. Jediną terapią, jaką wówczas mógł zalecić lekarz była modlitwa! Zrozpaczonej mamie trudno było uwierzyć, że dziecko, któremu udało się przeżyć Oświęcim, teraz pozostawiono bez ratunku. Lecz i tym razem Opatrzność czuwała i zrządziła inaczej, brat wyzdrowiał.

Mnie natomiast nadal nękało wyniesione z obozu chroniczne zapalenie spojówek oraz licznie występujące wrzody. Wylizywane przez jamniczkie sąsiadów, zadziwiająco szybko się goiły, ale powstawały następne, aż do końca 1950 roku. Niebawem, bo po podjęciu nauki, miały się także ujawnić niepokojące stany natury emocjonalnej, których też nikt nie leczył.

Mama, choć jeszcze bardzo wycieńczona, musiała natychmiast szukać zatrudnienia. Miała już pełną świadomość, że nikogo nie interesuje los wdowy z dziećmi po obozie, gdyż były to nad wyraz trudne czasy. Nikt nikim się szczególnie nie przejmował, tym bardziej, że prawie wszyscy byli w jakimś stopniu przez wojnę „poranieni” i potrzebujący pomocy. Pomimo, że było dużo różnych ofert, posada biurowa nie wchodziła w rachubę ze względu na zaawansowaną kataraktę obydwu oczu, z powodu, której jeszcze przed wojną otrzymała rentę. Toteż możliwość pracy w stołowce - po tak strasznym niedawnym wygłodzeniu i braku innych umiejętności fachowych - wydała się mamie wartym zainteresowania tymczasowym zajęciem.

W tym też czasie zaskoczyło, a zarazem ucieszyło mamę, nagłe wystąpienie przerwanej w KL Auschwitz-Birkenau od prawie roku, menstruacji. Wtedy dowiedziałam się, że gdy kobiety w obozie zaobserwowały jej gwałtowny zanik, przekonane były, że do jedzenia dodawano jakąś substancję, która powstrzymała działanie określonych hormonów.

Gdy wkrótce dorosłam do tego fizjologicznego w moim życiu momentu i zaczęłam ogromnie tyć, mama była przekonana, że widoczne u mnie zaburzenia mają związek z tamtym działaniem.

Tymczasem, zaniepokoił mamę stały brak sił i nieprzewyciężona potrzeba wypoczynku oraz bóle bardzo powiększone węzły chłonne na szyi. Wracając po pracy ogromnie zmęczona, na siłę wykonywała najpotrzebniejsze obowiązki i wcześniej się kładąc prosiła abyśmy podczas zabawy nie wymawiali tylko jednego słowa „Mamo”, które ją natychmiast budziło. Dużo później przyznała się, że był to w jej życiu przełomowy okres, podczas którego za wszelką cenę pragnęła ukryć przed nami faktycznie zły stan zdrowia i walkę o swoje życie dla nas.

Jakiś czas upłynął nim, wspomóżona streptomycyną nadesłaną z Wenezueli przez stryjecznego brata lekarza Stanisława Windygę, który po wojnie jako polski oficer pozostał na Zachodzie, nabrała energii do działania. Wówczas, a był to wrzesień 1947 roku zmieniła zajęcie, podejmując się współorganizowania internatu dla młodzieży z okolic Gorzowa Wielkopolskiego, którego patronem było Państwowe Gimnazjum i Liceum Administracyjno – Handlowe przy ul. 30 stycznia nr 29. Przyjmując funkcję wychowawczynie dziewcząt musiała zamieszkać w miejscu pracy, czyli internacie. Spowodowało to, że ja z bratem znowu odczuwaliśmy niedosyt mamy, choć nami opiekowała się za możliwość wynajęcia pokoju, samotna, poznanianka pani Karolina Kołtoniak.

Wkrótce ta dwuletnia względna stabilizacja runęła. Zażądano od mamy wykształcenia pedagogicznego. Odejście z pracy mama przeżyła załamaniem, tym bardziej, że znikąd nie mogła liczyć na

wsparcie. Dźwignęła się jednak z apatii i nawet poddała operacji katarakty, która wbrew oczekiwaniom nie przyniosła pełnego efektu, a ogólny stan zdrowia uległ pogorszeniu. Wówczas sytuacja materialna rodziny stała się katastrofalna i bez wyjścia, gdyż każdy rodzaj pracy wymagał dobrego wzroku i kondycji fizycznej.

Przez kolejne dwa lata utrzymywaliśmy się z naszych stypendiów, mamy renty i wynajmowaniu uczennicom pokoju.

W tym czasie, mama w listach do kuzynki pisała (są w moim posiadaniu), że z niecierpliwością liczy już miesiące do mojego i brata usamodzielnienia się. I tak też się stało. Po tym bardzo trudnym materialnie okresie, zaraz po maturze we wrześniu 1951 roku, w siedemnastym roku życia, podjęłam pracę zawodową w biurze Przedsiębiorstwa „ARGED” i odciążęłam mamę, biorąc ją na swoje utrzymanie.

Mama nie dawała jednak za wygraną. Zregenerowana psychicznie, zaskoczyła nas przyjęciem otrzymanej propozycji kierowania stołówką przy Oddziale Zaopatrzenia Kolejarzy.

Kiedy wydawało się, że wszystko szczęśliwie się wreszcie ułożyło, ja mogłam myśleć o studiach i wyjechać na nie do Warszawy, u mamy nagle rozwinął się nowotwór piersi.

Zmarła przedwcześnie, po życiu wypełnionym dobrocią 4 kwietnia 1958 roku przeżywszy zaledwie 54 lata.

Osierociła mnie nagle, a tak bardzo była mi bliska i niezastąpiona, tym bardziej, gdy wkraczałam w pełne pułapek dorosłe życie. Prawdą jest, że kiedy odchodzi matka będąca „Aniołem na ziemskiej praktyce”, a z nią jej miłość do nas, to zawsze jest za wcześnie!

Moje przemyślenia na kanwie wspomnień

Gorzów Wielkopolski, były niemiecki Landsberg nad Wartą, położony na Ziemiach Zachodnich (Odzyskanych), miasto powojennego osiedlenia się mojej rodziny, Niemcy oddali 30 stycznia 1945 roku bez tak zwanego jednego wystrzału. Poważnie jednak okaleczone i rozgrabione przez żołnierzy Armii Czerwonej, swoje wojenne rany latać zaczęto znacznie później. W pierwszej kolejności w pośpiechu i z wielkim trudem przywracano zdewastowane stanowiska pracy w fabrykach i przedsiębiorstwach.

W tym czasie, ludność polska pochodząca z Kresów Wschodnich i nie tylko, przesiedlona tu po wyrwaniu z własnych korzeni, żyła w psychozie niepewności i na przysłowiowych walizkach.

Mnie ten problem był całkiem obojętny, gdyż ani na chwilę swej przyszłości nie wiązałam z pozostaniem w Gorzowie. Tęskniąc do Warszawy czułam się w nim tylko przechodniem i byłabym w życiu niespełniona, gdybym w niej nie osiadła.

Lecz kiedy po bez mała 10 latach ziściło się moje marzenie, nieoczekiwanie dla samej siebie odkryłam, że „niechciane” miasto mojej młodości, raptem okazało mi się bardzo bliskie i kochane. Wprawdzie nie na tyle abym ponownie pragnęła w nim zamieszkać, ale każdy do niego przyjazd już zawsze był i jest pełen prawdziwego wzruszenia.

Z perspektywy czasu przyznaję, że pozostanie i osiedlenie się w Gorzowie Wielkopolskim w sytuacji, w jakiej znalazła się moja rodzina nie mająca, do czego wracać w Warszawie, okazało się wspaniałą, pełną przytomności umysłu, decyzją mamy. A ona mając świadomość, że jesteśmy tu pionierami, przy każdej okazji z dumą ten fakt podkreślała.

Wkrótce zrozumieliśmy także, że ominęła nas tułaczka u rodziny. Ówczesne możliwości zdobycia w Warszawie własnego, czyli odrębnego lokalu i zagospodarowanie go przez tak bardzo schorowaną mamę, byłoby trudne, a właściwie niemożliwe.

Bądź, zatem błogosławiona chwilo osiedlenia się w Gorzowie Wielkopolskim, choć mamie zawsze i to do samego końca życia, ogromnie było brak rodziny, oraz przyjaciół. Taką to właśnie ceną była ta względna stabilizacja.

Zresztą nim wykształcili się moje i brata pierwsze szkolne przyjaźnie i my również czuliśmy się bardzo samotni w tym obcym środowisku. Wtedy mama mówiła, „Czemu, Bóg nas tak bardzo rozproszył”. I choć w pierwszym powojennym okresie ogromnie tego pragnęliśmy nikt nas nie odwiedzał. Podróże w tym czasie na skutek braku dostatecznej liczby środków transportu były koszmarem. W nadmiernie obłożonych pociągach, przy zdobywaniu w nich miejsca nierzadko używano siły oraz wdzierano się przez okna. Byli też śmiałkowie, którzy jechali na dachach wagonów lub ich stopniach.

Toteż, gdy na ferie zimowe w 1946 roku zapowiedziała się będąca nauczycielką, siostra taty ciocia Hala, nie posiadaliśmy się z radości. Od postawienia stopy na gorzowskim peronie do samego końca jej wizyty przeżyaliśmy euforię i nieustające święto! Gorzej było, gdy pociąg z ciocią odjechał. Wtedy ogarnął nas przeogromny smutek i przygnębienie. Bliska płaczu mama opuszczając dworzec mówiła, że

ma wrażenie jakby wracała z pogrzebu. Dla mnie jedyną pociechą był fakt, że, po jej bytności został wspaniały materialny ślad w postaci sześćdziesięciu książek, dar dzieci z warszawskiej szkoły.

Wobec tak dokuczliwie ciężącego nam oddalenia od rodziny już zawsze na część wakacji jechaliśmy z wielką radością do swoich i Warszawy.

Lecz zgodnie z mamy ślubowaniem w KL Auschwitz – Birkenau, pierwsze kroki po wyzwoleniu, latem 1946 roku, zawiodły nas do Częstochowy z podziękowaniem Matce Najświętszej za zwrócone życie! Następnie dopiero skierowaliśmy do Warszawy, gdzie sami zobaczyliśmy niewyobrażalny obraz zniszczeń kochanego miasta.

Aby dotrzeć do ulicy Dzielnej, przy której przed wypędzeniem mieszkaliśmy, szliśmy wzdłuż ulicy Okopowej wydeptanym poboczem pośród hałd gruzów piętrzących się w miejscu gdzie powinny być domy. U celu wędrowni, przy ocalałym budynku Monopolu Tytoniowego, stał nadal znajomy nam betonowy bunkier i co najciekawsze przez kogoś zamieszkały. Natomiast na ruinie zapadniętego stropu naszego domu, z całego pozostawionego dobytku dostrzegliśmy tylko niegdyś okazały, żółty nocnik. Leżał, bo z oberwanym uchem też nikomu nie był przydatny. Nawet nam nie przyszło do głowy, aby zabrać go na pamiątkę.

Tymczasem po minionej wojnie życie chyba tylko pozornie zaczęło się normować. W mojej rodzinie egzystencja jeszcze bardzo długo, bo aż do wczesnych lat pięćdziesiątych, była nad wyraz trudna.

W wyniku biedy, która aż „piszczala” podstawowe produkty żywnościowe w postaci wszelkiego nabiału, wędlin, mięsa, warzyw, owoców i słodczy, były dla nas absolutnie niedostępne.

W początkowym okresie chleb smarowaliśmy ceselem, który swą szklistą postacią przypominał stearynę. Rolę jego przejęła marmolada. A gdy na stole pojawił się smalec, a dużo później wyroby z koniny, to wraz z tymi specjałami powstało wrażenie „przepychu”!

Długo, bardzo długo jeszcze możliwość zjedzenia kielbasy kojarzyłam ze Świętami Wielkiej Nocy. Natomiast przypomnienie smaku czekolady zawdzięczam paczkom UNRRA!

Głównym posiłkiem były, zatem obiady stołówkowe. Wprawdzie nie rozpieszczały różnaitością ani smakiem, niemniej zdecydowanie uzupełniały ten niedostatek wyżywienia.

Nie mając oparcia materialnego w nieżyjącym ojcu, zarobki mamy nie wystarczały też i na inne potrzeby, a były to ubiory. Najgorzej było z jesiennym i zimowym obuwiem. Z rozgoryczeniem jeszcze teraz wspominam zakup dla mnie sznurowanych butów na bazarze, gdyż tylko tam pojawiła się taka możliwość. Wyglądały na męskie, na pewno używane o dwa numery za duże. Argument i pocieszenie, że na dłużej starczą nie wzbudziły mego entuzjazmu. Pogłębiły tylko zdecydowaną do nich niechęć, a do losu żal. Za to pierwsze wymarzone półbuty tak zwane, „tyrolki”, które wprost mi się śniły, bo tak bardzo były upragnione, nabyłam już sama, dopiero w 1952 roku po pełnym roku pracy.

Letnie obuwie nie stwarzało takich problemów. Nosiłam dostępne w sklepach, lecz wystane w długich kolejkach, białe tenisówki nawet firmy „Bata”, które prałam i czyściłam proszkiem do zębów. W miarę upływu czasu pojawiły się także pierwsze „plótniaki” na drewnianym koturnie, zastępujące sandaalki.

Lecz ze zdobyciem ubrań też były problemy. Gdy w 1948 roku przeszliśmy z bratem do IX klasy Liceum Ogólnokształcącego, mimo powszechnego niedostatku, dyrekcja szkoły zażądała ujednolicenia strojów uczniowskich. To umundurowanie było wprost ratunkiem. Sprawilo, że jedyną wyjściową sukienką do szkoły, a i w dwu pierwszych latach do pracy (1951-1953), stał się fartuch z satynowej podszewki, pod którym donaszałam przeróżne łaszki.

Natomiast zimowe wyekwipowanie stanowiło granatowe palto z podwójnym rzędem srebrzystych metalowych guzików, oraz czapki z daszkiem i otokiem, którego kolor określając rodzaj szkoły tym samym dyscyplinował zachowanie młodzieży.

Całe szczęście, że nikt z pośród nas nie dociekał i nie zastanawiał się wówczas, z jakiego gatunku materiału uszyte były te ubiory. Były po prostu jednakowe. Jednolitość ta zapobiegła wyróżnieniu i rozgoryczeniu gorzej sytuowanych uczniów.

W konsekwencji tej skrywanej biedy, na studniówkę i bal maturalny nie miałam dosłownie nic odpowiedniego, w co mogłabym się przystroić, a mama pieniędzy ażeby w tym dopomóc. Poszłam, zatem korzystając z uprzejmości matki kolegi Mariana, pani Artemiukowej, w jej sukience i pantofelkach. Moja była tylko młodość i nadzieja, że jutro będzie dostatniejsze, bardziej normalne i nie upokarzające. Bo nawet dyskretne zwolnienie z wymaganej opłaty przez organizatorów zabawy, było dla mnie bardzo bolesnym przeżyciem.

Nauczeni obchodzić się małymi możliwościami nie napieraliśmy na mamę wymaganiami, które ją nie tylko przerastały, ale i w sklepach były niedostępne. Niemniej bardzo brakowało nam radia, piłki i roweru, a mamie do końca jej życia zwykłych firanek.

Zbędnych funduszy niestety starczało tylko na takie luksusy jak kino, książki, zeszyty i przybory szkolne oraz inne drobiazgi.

Gdy chciałam wziąć udział w koleżeńskej wycieczce rowerowej, bo okolice piękne i wojażom sprzyjające, modliłam się, aby ojciec kolegi Mariana nie wybierał się na ryby i pożyczył mi swój

zdezelowany pojazd. A piłkę, która stała się naszej paczki wspólnym dobrem, przysłał Zośce Pominkiewicz ojciec z Anglii. On sam jako „Andersowiec” pełen obaw o swoje życie bardzo jeszcze długo zwlekał z powrotem do Polski.

Na takiej kanwie, pożalowania godnych warunków bytu, mocno z nim splecione toczyły się dalsze wydarzenia, które niosło nam z sobą życie.

Otóż pilnego rozładowania wymagały emocje wynikające z niedawnych tragicznych doświadczeń, które mama, brat i ja przeżywałyśmy w różnych miejscach i okolicznościach, choć w tym samym oświęcimskim obozie. A także, kiedy każde z nas w innym dla siebie momencie uległo załamaniu nerwowemu. Brat podczas wypędzania z Warszawy, gdy ujrzał płonący dom, w którym mieszkał kolega. Mama w pociągu, gdy dowiedziała się, że transport skierowano do KL Auschwitz. Ja w obozowej saunie w Birkenau, podczas gdy odbierano mi ludzką godność.

Wtedy dzięki intuicji mamy, zapanowała pomiędzy nami spontaniczna zmowa milczenia dotycząca niedawnych przeżyć. Ta terapia mająca zastąpić psychologa miała wyciszyć, szczególnie u mnie, dziwne symptomy, które ujawniły się jesienią 1945 roku po podjęciu nauki w szkole podstawowej i wcale nie okazały się tymczasowe.

Na sytuacje pełne smutku reagowałam nerwowym śmiechem, który im dłużej trwał tym trudniejszy był do opanowania. W klasie wyrwana do odpowiedzi, z emocji nie słyszałam kierowanego do mnie pytania, oraz nie mogłam na głos czytać. A w liceum na odpytywanie partii przerobionego materiału zgłaszałam się do pokoju nauczycielskiego. Na uczelni natomiast koszmarem była niemożność zmuszenia się do pójścia na egzamin.

Nie wytrzymałam także psychicznego napięcia gdy ono narastało.

Ponadto w analogicznym czasie odkryłam, że przebywanie w oświęcimskim obozie odarło mnie z wrażliwości. Utrata elementarnej wiary w pozytywne zachowania człowieka sprawiła, że moje współczucie dla ludzkich nieszczęść całkiem stępiało. Odruchy litości i zrozumienia budziły już tylko zwierzęta. A moje obozowe doświadczenie osamotnienia przekształciło się w pewność, że w życiu jestem zdana na siebie, co zresztą późniejsze borykanie się mamy potwierdziło. Sprawilo to także, że zbyt wcześnie stałam się psychicznie bardzo niezależna i przestałam uznawać wszelkie autorytety, które w moim pojęciu na takie miano nie zasługiwały. Szacunek wzbudzali tylko ci, którzy kierowali się zasadami etyki, a przede wszystkim sprawiedliwości. W konsekwencji wzmógł się mój krytycyzm wobec ludzkich zachowań. Gdy podjęłam pracę mając 17 lat bardzo surowo oceniałam tych, którzy szczególnie na kierowniczych stanowiskach nie posiadali rzetelnej wiedzy, a tylko partyjną przynależnością utrwalali władzę ludową. Niestety w nowej rzeczywistości moda na pracowników z awansu społecznego mnożyła osobników, których nadarzające się możliwości przerastały zawodowo, a oni sami wzbudzali politowanie.

Do równowagi psychicznej powracałam bardzo, ale to bardzo powoli. Dopiero własne bolesne kompleksy (cierpiałam na skutek otyłości po wejściu w okres dojrzewania) i ograniczenia emocjonalne w szkole, a przeżywane niestety w samotności, pozwoliły mi dostrzec innego człowieka. Mało, solidaryzować się z jego niemożnościami. W terapii tej miały też zapewne swój udział przykłady zachowań mamy. Kiedy ona widziała ludzkie biedy starała się im zaradzić dając w miarę możliwości swoje pełne serdeczności wsparcie. Odżyły chyba także moje własne cechy charakteru, uśpione brutalnością świata, o który tak wcześnie się otarłam. Jak sięgnę pamięcią wstecz, zawsze stawałam po stronie słabszych. Nawet biłam się z chłopakami broniąc brata przed ich drwinami z powodu jego widocznego zęza.

Jesienią 1945 roku, po przymusowej rocznej przerwie, ogarnął mnie i brata z radością oczekiwany i podjęty obowiązek szkolny kontynuowany do matur.

Reorganizacja szkolnictwa w 1948 roku sprawiła, że byliśmy rocznikiem inaugurującym program „jedenastolatki”, która bratu przedłużyła o rok cykl nauki, a mnie o tyle przyspieszyła. Reforma ta spowodowała, że w 1948 roku oboje znaleźliśmy się w jednej IX klasie, a ja w grupie uczniów starszych ode mnie o dwa lata.

Korzystając z nadarzającej się możliwości, bo taka się niespodziewanie wyłoniła, po ukończeniu X klasy przenieśliśmy się do Państwowego Liceum Administracyjno-Gospodarczego II stopnia, gdzie w roku następnym (1951) uzyskałam maturę upoważniającą do używania tytułu Technika Administracji Gospodarczej, która to w życiu była mi ogromnie przydatna.

Mając już zawód, podjęłam jeszcze wysiłek aby w Liceum dla Pracujących w roku następnym (1952) zdać maturę ogólnokształcącą, gdyż to ona upoważniała do studiów na wszystkich, a nie tylko ograniczonych kierunkach.

Przez te wszystkie lata nauki, zawarte znajomości szkolne sprawiały, że naszą „samotnię” jak mawiał brat, wypełniała duża ilość młodzieży, której mama ogromnie była rada. Zresztą i jej obecność wśród nas nikomu nie przeszkadzała. Wkrótce też stała się dla niektórych powiernicą i życiowym doradcą.

Prawie wszyscy z nami zaprzyjaźnieni pochodzili z terenów wschodnich: Lwowa (Maria Szumańska), Wilna (Zofia Pominkiewicz, Franciszek Stankiewicz, Teresa Kozłowska obecnie Sosnowska), Lidy

(Mieczysław Stukonis), Włodzimierza (rodzeństwo Barbara obecnie Buszkiewicz i Kazimierz Bosiaczy), Marian Artemiuk najprawdopodobniej z Brześcia lub Grodna, oraz Aleksander Olszewski. Była także z Sierakowa (Maria Kortus obecnie Mager) i z Warszawy (rodzeństwo Barbara obecnie Pruszenowska i Robert Ostrzeniewscy) oraz my bezpośrednio powracający z Niemiec.

Przyjaźnie przetrwały na zawsze i choć wiele z tych osób już zmarło, pamięć o nich nadal jest żywa.

Lecz zanim jeszcze stopniowo poznawani przyjaciele zaczęli tłumnie odwiedzać nasze mieszkanie, ja na przełomie 1945- 1947 roku miałam zaledwie 11,12,13 lat i poza nauką pragnęłam się bawić, cieszyć życiem, wolnością i mówić, co myślę. Ratując szczątki skradzionego przez wojnę dzieciństwa, chciałam także jego resztki osadzić na właściwych memu wiekowi działaniach. Wtedy rzuciłam się w przygodę harcerstwa prowadzonego jeszcze na zasadach skautingu. Zgodnie z jego prawem podczas zabawy w kontakcie z przyrodą, mogłam kształtować romantyczną postawę pełną honoru, etyki, miłości Boga, bliźniego i Ojczyzny.

Lecz jak pech to pech. Wszystko, co zachwycające w mym życiu się pojawiło, trwało zawsze zbyt krótko. Toteż i tą odskocznią w dzieciństwo i odreagowywanie skutków wojny, też nie cieszyłam się zbyt długo, czego do dziś nie mogę przeboleć! I nadal bardzo źle myślę o tych, którzy to spowodowali.

Zdążyłam zaledwie być na dwu pełnych wrażeń obozach, które nie były w stanie zrekompensować mi tego, czego jeszcze później mogłam doświadczyć. Pełna protestu opuściłam szeregi harcerstwa, gdy w 1948 roku zaszły w nim istotne zmiany ideowe – ukierunkowane na wychowanie w duchu socjalistycznym.

Co to znaczyło to już wtedy wiedziałam. Choć sprawy polityki, w latach powojennych (1945 – 1947), były mi obce i obojętne, umiałam jednak słuchać i obserwować. Nachalna agitacja przed referendum w 1946 roku ze względu na swą widowiskowość nie umknęła mej uwadze. Wszystkie dostępne miejsca na murach wypalonych domów i płytach chodnikowych nawoływały do głosowania „3 razy Tak”, podczas gdy w moim domu opowiadano się całkiem inaczej.

Na jakich zasadach funkcjonował wówczas rząd w Polsce i że toczą się tarcia pomiędzy wolą społeczeństwa, a sprawowaną władzą, z tego też nie bardzo zdawałam sobie sprawy i wcale nie pragnęłam wiedzieć. Za to doskonale pamiętam rozgoryczoną i pełną ironii twarz mamy, gdy relacjonowała przebieg wyborów w styczniu 1947 roku: „Głosowaliśmy wszyscy na 3 blok demonstracyjny, jawnie prowadzeni grupami przez swego przewodnika. Nie macie pojęcia ile mnie to zdrowia kosztowało”. Mama z braku przyjaciół swoimi przemyśleniami i wątpliwościami z konieczności na gorąco dzieliła się z nami. Dopiero później w listach, które teraz są w moim posiadaniu, okazjonalnie przekazywała je kuzynce.

Krótko mówiąc poglądy i opinie mamy były dla mnie wykładnią. Uważałam je za właściwe, prawdziwe i godne naśladowania.

I chyba we wszystkich domach musiało być podobnie. Bo kiedy opiekun mojej IX klasy, zaproponował zapisanie się do nowo powstałego Związku Młodzieży Polskiej (ZMP), formacji upolitycznionej i ideowo nam obcej, zachęta ta gremialnie została zbojkotowana. Apel podjęły tylko dwie osoby, których ojcowie należeli do jakiejś partii.

Wkrótce okazało się, że ta grupa młodzieży zaczęła w szkole dominować ideologicznym nadzorem nie tylko koleżeństwa, ale również kadry nauczycielskiej. Od aktywu ZMP uzależniona była także opinia podań na studia. Ta pełna osaczenia sytuacja sprawiła, że po odczekaniu roku moja klasa zachowując się w sposób obłudny – skapitulowała, aby zapewnić sobie możliwość dalszego kształcenia.

Nie miałam wyrzutów sumienia. Z praktykowaniem obłudy wobec wroga obyła byłam już podczas okupacji. Wtedy osłaniając prawdę ratowało się ludzkie życie, ale była też nadzieja na rychły koniec wojny i wolność. W tej nowej rzeczywistości, ustąpienia niechcianego reżimu nikt nie przewidywał ani nic go nie zapowiadało. Aby żyć trzeba było się tymczasem przystosować, co wcale nie znaczyło, że byliśmy całkiem bezwolni. W mieście i szkole nastąpiły aresztowania osób, które znałam. A w domach życie wrzało, ale i też zupełnie odmiennym rytmem.

Tymczasem, moją obojętność na toczące się sprawy polityczne w Kraju i propagandę dyszącą jadem nienawiści na świat Zachodu, nagle przerwała wiadomość o wybuchu wojny w Korei. Był rok 1950, maturalny. Przestraszyłam się nie na żarty, choć oprócz mnie nikogo z rówieśników fakt ten nie poruszył.

Wtedy przez nikogo nie zachęcana, ani przymuszana z własnej woli i z przekonaniem podpisałam się pod Stockholmskim Apelem Pokoju, jesienią 1950 roku, a miałam wówczas zaledwie 16 lat.

Nic dziwnego. Kto jak kto, ja doskonale dużo wiedziałam jakie skutki spowodowała wojna, która niedawno jak niszczycielski walec przetoczyła się przez mój Kraj i rodzinę!

Skazana na zagładę w KL Auschwitz-Birkenau, przeżyłam ją cudem. Następnej bałam się przeogromnie.

Dzieciństwo ograbione z obecności w nim ojca i właściwych temu wiekowi wszelkich doznań, już straciłam.

Wczesną młodość spędzałam nie tylko pełna psychicznych zahamowań, ale w ogromnym ubóstwie i patrząc na borykanie się schorowanej Matki, która łącznie ze zdrowiem utraciła wszelkie materialne dobra. A wypędzona z rodzinnego miasta Warszawy, życie wiodła w dokuczliwym osamotnieniu z dala od swoich bliskich krewnych.

Gdy uświadamiam sobie co straciłam przez wybuch wojny w 1939 roku – a straciłam szansę na zupełnie odmienne życie – zawsze ogarnia mnie bezsilny gniew na sprawców!

Tymczasem wkroczyłam w najpiękniejszy okres nastoletniej młodości, która z zasady powinna być beztroska, pełna przeróżnych wrażeń, ciekawych przeżyć.

A okazała się ograniczona materialnym niedostatkiem, w fartuchu szkolnym z satynowej podszewki i tenisówkach. Ale za to z włosami w warkoczach, polotem i fantazją mej indywidualności oraz jak każda nie wolna od młodzieńczych tęsknot i zauroczeń. I wbrew wszelkim przeciwnościom przebogata, bo osadzona na dużej grupie bardzo z sobą żytych przyjaciół, codziennych bywalców naszego mieszkania.

Razem spędzaliśmy czas. Graliśmy w piłkę, chodziliśmy na spacer, do kina i teatru. Muzykowa-liśmy przy pianinie, wspólnie uczyliśmy się tańczyć i urządzali prywatki. Cieszyło nas wszystko, co pozytywne, przeciwnościami nie umieliśmy się długo martwić. Było nam z sobą dobrze. Zawsze do siebie wracaliśmy, pomimo wyjazdów na studia.

A obrazek wyobrażający rytuał naszych wigilijnych spotkań, który na zawsze zapadł w mej pamięci wyglądał tak.

Po kolacjach we własnych domach, schodzili się już jako goście: Kazik, Mietek, Franek i Marian. Grono domowników stanowiła mama, pani Karolina, brat Leszek i ja.

Przy akompaniamencie pianina śpiewaliśmy kolędy. Na choince płonęły prawdziwe świece, czyniąc nastrój. A nam z sobą było radośnie i świątecznie.

Około północy zwyczajowo szliśmy na pasterkę, gdzie spotykaliśmy Zochę i Mańcię. Po wyjściu z kościoła był jeszcze cudowny spacer, gdyż odprowadzaliśmy się gromadnie zaczynając od najdalej zamieszkałych. Gubiąc po drodze kolejne osoby wracaliśmy z Leszkiem do domu ostatni, bo byliśmy we dwoje. Tak zakończony wieczór, do dziś budzi we mnie ciepłe wspomnienie.

Kiedy w 1951 roku dojraliśmy do matur. Mama zaczęła żałować, że nie osiedliła się w mieście akademickim. Zaskoczyło ją, że tak szybko miała nastąpić pora ewentualnych wyjazdów na studia, co, do których jednak nie bardzo dochodziło.

Brat po trzykrotnym podejściu do egzaminu na upragniony Wydział Lotniczy na Politechnice Warszawskiej uznany, jak się później okazało, za niepewnego politycznie z uwagi na wujka w Wenezueli, zrezygnował z dalszego studiowania. Pozostał na stałe w Gorzowie, kontynuując podjętą pracę w Zakładach Roszarniczych. Wcześniej ukończył klasę fortepianu w Podstawowej Szkole Muzycznej, jako że muzyka była jego ukochanym i wypełniającym mu życie hobby.

Nigdy nie założył rodziny. Zmarł przedwcześnie 24 października 1981 roku przeżywszy zaledwie 49 lat.

Moje studia na Politechnice Warszawskiej wnet musiałam przerwać z uwagi na chorobę mamy oraz konieczność samodzielnego utrzymania się.

Dopiero po 10 latach osiągnęłam to, że nareszcie osiedliłam się w Warszawie, choć przyszło przezwyciężyć ogromne i absurdalne trudności z zameldowaniem się w niej na stałe!

W Warszawie też spotkałam i pokochałam życiowego partnera z zawodu inżyniera Romualda Sobczyńskiego urodzonego 7 października 1931 roku w Warszawie, za którego w 1958 roku wyszłam za mąż. Doświadczyłam macierzyństwa rodząc 14 maja 1963 roku syna Pawła. Doczekałam dwóch wspaniałych wnuków: Mikołaja (1991) i Jasia (1995). Owdowiałam wcześniej. Mąż zmarł nagle na zawał 12 października 1985 roku, przeżywszy zaledwie 54 lata.

Na wcześniejszą emeryturę w 1981 roku przesłam z Ministerstwa Nauki Szkolnictwa Wyższego i Techniki, unikając zwolnienia z pracy za członkostwo w Solidarności.

Dziś wracając do Gorzowa Wielkopolskiego. myślami i fizycznie ogarniam to miasto z takim samym sentymentem jak i Warszawę, choć zawsze jej daję pierwszeństwo.

Inspirowana i przynaglana przez syna, w miarę wiernie starałam się ukazać potomnym, co z sobą niosła wojna. A jak potrafiła być niszczycielska, niech będą dowodem dzieje jednej przeciętnej, polskiej rodziny.